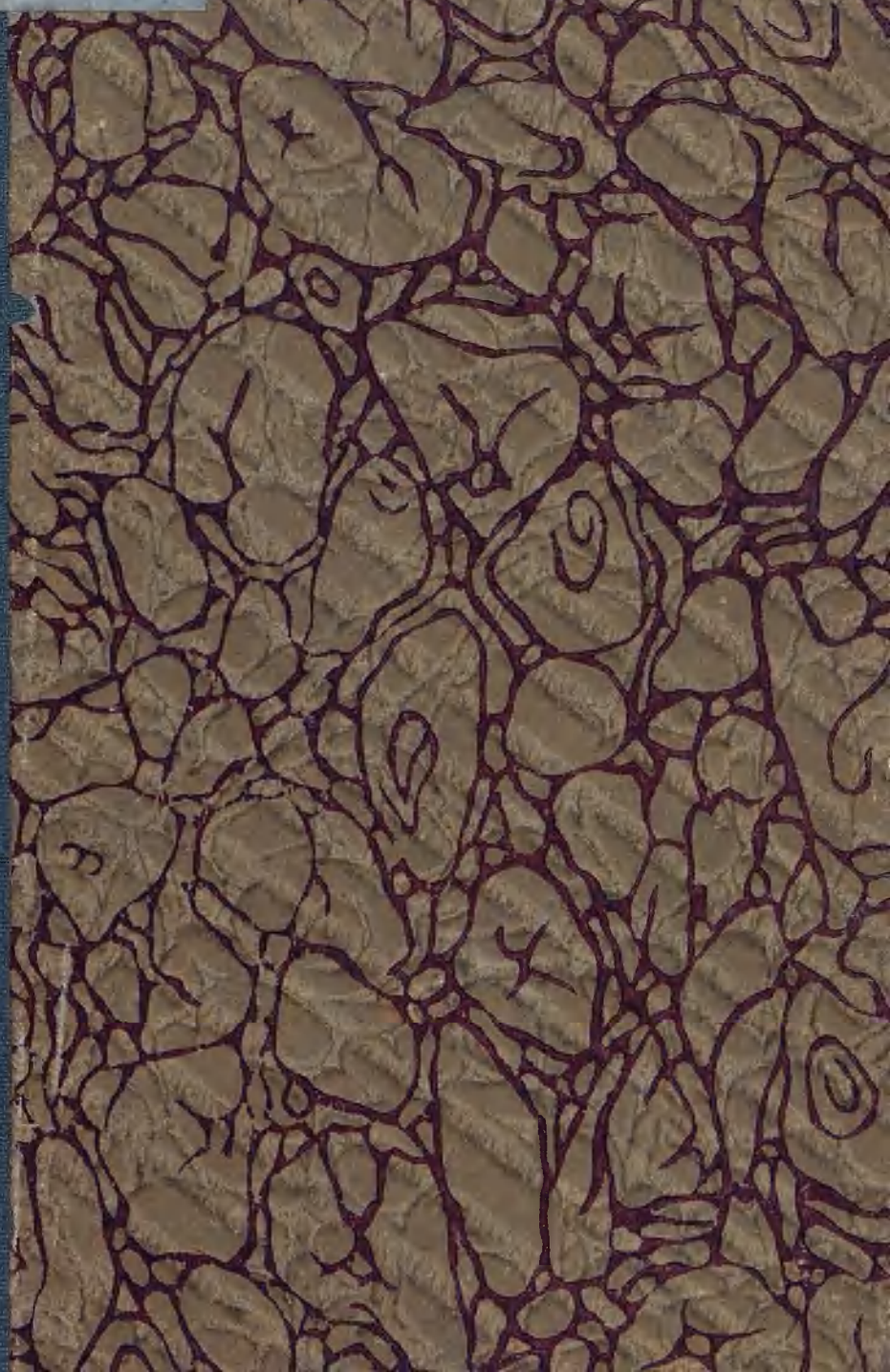
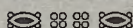


Biblioteka Sejmiku Śląskiego

13794 II



JÓZEF BIAŁYNIA CHOŁODECKI.



WSPOMNIENIA

Z LAT NIEDOLI I NIEWOLI

1914 — 1918.

*Dopokąd barwę wrażeń pamięć moja chowa,
Niewystygłe uczucie w wnętrzu mojem gości,
Owijam więzkę zdarzeń w nieudolne słowa,
I składam wątek myśli w ręce potomności...*

JÓZEF BIAŁYNIA CHOŁODECKI.

LWÓW.

NAKŁADEM AUTORA.

Z Drukarni L. Wiśniewskiego.

1919.

13797

II



51-

x-43744	
13797	II

ROZDZIAŁ I.

WIEŚĆ O ZAMACHU NA NASTĘPCĘ TRONU. — WYPOWIEDZENIE WOJNY. — „KRONIKA“ BIEŻĄCYCH WYPADKÓW. — KURSA NAUK SAMARYTAŃSKICH. — WRAŻENIA WSRÓD LUDNOŚCI. — ODEZWA DO POLEK. — PANIKA W MIEŚCIE. — EWAKUACJA LWOWA. — ZAJĘCIA LITERACKIE.

Pogodnym, jasnym, pięknym, uroczym był niedzielny dzień 28 czerwca r. 1914, to też Lwów cały wyszedł z murów dusznych kamienic i podążył na promenady, na wycieczki do ogrodów, parków i okolicznych lasów.

Poszedłem i ja za przykładem innych, i w liczniejszym gronie znajomych używałem wczasu w cieniu leśnych drzew obok rogatki Łyczakowa.

Nad wieczorem dążąc, ku miastu dowiedziałem się o wiekopomnej w swych skutkach katastrofie, o zamordowaniu arcyksięcia, następcy tronu i tegoż małżonki. Sensacyjny wypadek wywołał potężne u ogółu wrażenie, silną emocję, różne opowieści, wnioski, kombinacye, przepowiednie, nie obudził atoli, na razie, obaw wybuchu, zwłaszcza zaś wybuchu tak szalonej wichury wojennej, jaka wstrząsała w najbliższych latach całym prawie globem ziemskim.

Z kolei nastąpiła chwilowa cisza, poczem nadpływały wieści o rozpoczętej orężnej rozprawie, na razie, z Serbią tylko, w parę dni później zaś z całym szeregiem innych państw i mocarstw.

I nadeszły straszne dni smutku, zgrozy, nieszczęście i klęsk, jakie spadały na państwo, najbardziej na kraj nasz i stolicę Galicyi. Od czasu buntów Chmielnickiego, od czasów najazdów tatarskich, i inwazyi szwedzkiej, nie był chyba Lwów w tak dusznej atmosferze wojennej, w tak ciężkiej opresyi, jak w epoce światowej wojny. A opresya ta tłoczyła z szeregiem licznych konsekwencyj przez lata całe, upadającą pod ciężarem ludność.

Zaraz z początku wojny powziąłem zamiar, spisywania wypadków, jakie rozgrywały się we Lwowie. Codziennie zasiadałem o wieczornej porze do biurka, notowałem usłyszane wieści i moje osobiste spostrzeżenia, i zgromadzałem odnośne wy-

ciniki z publicznych czasopism miejscowych. W ten sposób powstał do chwili porwania mnie i wywiezienia do Rosyi, okazały manuskrypt, zatytułowany „Kronika wypadków w mieście Lwowie, w latach 1914—1915 (zdarzenia, opowieści, plotki, osobiste spostrzeżenia i wrażenia)“, złożony w Archiwum miasta Lwowa. Nie potrzebuję bliżej wykazywać, jak niebezpiecznem, groźnem było prowadzenie tego rodzaju notatek i zapisków w czasie inwazyi rosyjskiej we Lwowie i wszechwładnych rządów żandarmeryi, ochrony, tudzież całego legionu tubylczych szpiegów, jacy na skutek kilkakrotnych odezw władz carskich, zachęcających do korzystania z łatwego, a intratnego zarobku, stawali do niecných, odrażających usług. Kryłem się więc z całą przeczornością przed argusowem okiem „ziszczyków“, niepewny mimo wszystko losu, ni to wśród dziennych zajęć, ni wśród nocnego spoczynku.

Z początkiem sierpnia r. 1914 powstały kursa nauk samarytańskich, jeden w gmachu Sokoła macierzy, drugi w gmachu Ligi pomocy przemysłowej. Ten ostatni nastręczył mi, jako członkowi wydziału Ligi i prezesowi Lwowskiej pomocy przemysłowej, sposobność do współdziałania przy organizacji humanitarnej instytucji. Pociągała mnie ta sprawa tem bardziej ku sobie, że mogły i dzieci moje przyjść łatwo w położenie korzystania z szlachetnych usług samarytanek. Wszakże najstarszy syn mój Witold, adwokat krajowy, ongi chorąży artylerzysta, następnie oficer trenu, został powołany do armii na Węgrzech pod komendę polnego marszałka Langerera, wszakże drugi syn Zdzisław, inżynier rządowy, stacyonowany w Tarnopolu, pracował bez przerwy dla celów wojskowych na szerokim obszarze wschodniej rubieży Galicyi. Córka Jadwiga zamężna Kaczkowska, przyjechała z Winnik do Lwowa, uczęszczała tutaj na kurs samarytański, pragnąc szczerze poświęcić swe siły cierpiącej współbraci. Mąż jej Seweryn Kaczkowski stał znów, jako komisarz rządowy bez przerwy do usług komendy fortów podlwowskich, a tylko najmłodszy syn Olgierd, wolny od obowiązków wojskowych, przebywał wraz z matką i siostrą Janiną na feryach u dziadków Tadeuszowstwa Pniejnia Karwowskich w Kopyńcach.

Łatwo zrozumieć jak przykrą była sytuacja moja, przy niemożliwości należytego skomunikowania się z rozprószoną po kraju rodziną.

A czyż mógł pozostać bez wrażenia widok przechodzących przez miasto po całych dniach i nocach, zastępów piechoty, obrony krajowej, strzelców, saperów, ułanów, dragonów, huzarów, honwedów, artyleryi polnej, górskiej i wałowej, sanitaryuszów, furgonów, polowej poczty, wozów z amunicją i furazem, z aeroplanami, pontonami, mostami, widok motorzystów, cyklistów, polowych piekarń etc., widok wozów z rannymi, widok jeńców i zdobyczy wojennej? Ileż to razy łzy cisnęły się do ocz moich na odgłos trąbki drużyn strzeleckich. Czemuż to wiek i siły nie

pozwalają mi, — myślałem nieraz, — iść razem z Legionami pod hasłem walki z caratem?

Oryginalny, a, na szczęście, komiczny tylko, przytrafił mnie się w tym czasie wypadek.

Korzystając z niezwykłej pięknej aury, jeździłem na obiady i kolacye do letniej restauracji J. Korobłowskiej przy ulicy Łyczakowskiej l. 146 tuż pod parkiem im. Głowackiego, gdzie przesiadywałem zwykle w towarzystwie znanego mi od dawna kapitana-audytora Józefa Bartelmusa.

Do tejże samej restauracji uczęszczali też oficerowie ułanów, jakich grono zwiększyło się znacznie podczas mobilizacyi pułku na stopę wojenną.

Dnia 25 sierpnia 1914 nie stawił się Bartelmus do stołu, tak, iż siedziałem sam jeden tylko, mimowolny świadek rozmowy sąsiadów.

Nie wiem czy mój wygląd, czy moja mina, wydały się podejrzanemi dwóm młodym porucznikom Winnickiemu i Barańskiemu, dość, że ten ostatni, zerwał się z krzesła, i pobiegł w kierunku miasta po żandarmów polowych, aby mnie areztowali.

Dowiedziawszy się od restauratorki o aferze, podszedłem do sztabowych oficerów, przedstawiłem się, wylegitymowałem, otrzymałem przeproszenie za pochopność i pomyłkę Barańskiego a zdarzenie to dało impuls do humorystyki, skierowanej naturalnie nie przeciw mej osobie.

Ludność Lwowa żyła wówczas z dnia na dzień, z godziny na godzinę, z chwili na chwilę. Krótki sen, skromny posiłek, a po za tem ciągła gonitwa za wrażeniami, za nowościami, zbieranie wieści, cudackich niekiedy plotek, wertowanie czasopism, wyprowadzanie wniosków, politykowanie, udawanie znajomości strategii, urządzanie krytyki pierwszej, ilościowo, sorty, w końcu rozświetlanie bezmyślnych donosów i denuncyacyj.

Pogodne dnie ułatwiały Lwowiankom bezustanne włączenie się po ulicach, produkowanie swych ekscentrycznych strojów. Oburzało mnie tego rodzaju postępowanie w chwili, gdy lała się krew braci, gdy tyle ofiar padało pod kosą śmierci, gdy więcej jeszcze przechodziło całą skalę bólów, cierpień po lazaretach; wydałem więc odezwę, apelowałem w „Dzienniku polskim“¹⁾ do Polek, iżby zrzuciły wyzywające, a niegodne nieraz szanujących się kobiet półodzienia, czaple pióra, kitki i inne ozdoby, a przywdziały poważne, odpowiednie nastrojowi szaty.

Na skutek odezwy tej zabrała później analogiczny głos także i „Gazeta wieczorna“²⁾, nawoływała do skromności w stroju i do zachowania godności.

Dzień 27 sierpnia przykrem zapisał się zdarzeniem w rocznikach Lwowa, paniką, jaka ogarnęła mnogie tysiące ludności.

¹⁾ Nr 222 z 18 sierpnia r. 1914..

²⁾ Nr. 2038 z 19 sierpnia 1914.

„Idą Moskale“! krzyknął ktoś nad wieczorem w okolicy parku im. Głowackiego i oto od strony Jałowca i rogatki Łyczakowa runęły masy w głąb miasta. Powybiegali z kasarni rekruci i rezerwści, ruszyły z miejsca furgony, wozy i inne wehikuly. — Kobiety porywały na ramiona dzieci i pod wpływem psychologii tłumu, pędziły, nieodziane, bose, bez rozważu i zastanowienia na oślep ku kościołowi OO. Bernardynów, roznosząc popłoch i przerażenie. Na przestrzeni od kościoła św. Antoniego do placu Cłowego, zbito, skłębilo się mnóstwo głów mężczyzn, kobiet i dzieci, uzbrojonych i nie uzbrojonych żołnierzy, zbito się szeregi wozów, automobili, tramwajów i pędzonych luzem koni w jedną zwartą, ubezwładnioną własnym naciskiem, całość. Krzyki, nawoływania, piski, lamenty, płacz i turkot zaprzęgów zwiększały grozę położenia. Ludzie tracili zmysły. Jakaś matka zgubiła w ulicy Łyczakowskiej z pierzyny niemowlę i dopiero obok kościoła św. Maryi Magdaleny zauważyła swą zgubę. Biedne dziecię! Starły je na proch stopy ludzkie i kopyta końskie.

Dążyłem w tym czasie placem Maryackim ku ulicy Piekarskiej, a widząc co się w mieście dzieje skierowałem kroki ku ulicy Grottgera, aby z biura filii pocztowej rozmówić się telefonicznie z Winnikami i zasięgnąć języka u zięcia mego Kaczkowskiego. Biuro było zamknięte. Naczelnik podążył do swego mieszkania, wóz pocztowy umknął, próżny, z przed kamienicy, uwożąc także woźnych, jedna jedyna tylko adjunktka Marya Mazurkówna nie straciła głowy. Zamknęła biuro, aby ochronić je od rabunku i z kluczem w dłoni wyczekiwała przed kamienicą końca zamieszek. Gdy się nieco uspokoiło, zasiadła znowu do pracy. Przytomna, dzielna kobieta!

Wspomniany wypadek był przełomową chwilą nastroju lwowskiego społeczeństwa. Zaraz potem rzuciły się liczne rzesze do wyjazdu z miasta, podążył śladem władz i urzędów, tak, iż przez najbliższych dni kilka wyczekiwało dniem i nocą kilkadziesiąt tysięcy głów w zatarasowanej, wypełnionej pakunkami i bagażami alei kolejowej, na miejsca w wagonach osobowych lub przynajmniej towarowych. Mnogie zastępy rannych i rozbitków dążyły ku dworcowi, potęgowały widokiem swoim przerażenie wśród ludności.

Nie mając ani sił, ani zdrowia, ani funduszków, niezbędnych do życia tułaczego, nie chcąc opuszczać swego domu, swej biblioteki i zbiorów, nagromadzonych źródeł rękopiśmiennych, przejęty zresztą poczuciem obowiązku służenia wedle sił i możliwości, w tak ciężkiej godzinie, zgnębionemu społeczeństwu, pozostałem wraz z córką Jadwigą Kaczkowską we Lwowie. Daremniemi były zabiegi zięcia, iżbyśmy podążyli na Węgry, lub do Gracu, na nic przygotowane dla nas przez niego przepustki. On, zwolniony dopiero w ostatniej chwili od obowiązków komisarza rządowego, wyjechał, w braku pociągu, fiakrem ku Gródkowi Jagiellońskiemu, Jadwiga pozostała na straży pomie-

szkania brata Witolda, ja zaś objąłem opiekę nad domem kuzynów Edmundostwa Skorupków Padlewskich. Przez cały szereg miesięcy broniłem ruchomości ich od grabieży, narażając się wobec chciwych łupu czynowników.

Spragniony odrywania myśli od przykrych, ponurych zdażeń, kierowałem je ku zajęciu literackiemu, redagowałem, jak dawniej „Miesięcznik Galicyjskiego Towarzystwa ochrony zwierząt“, i wydałem w czasie huku dział pod murami Lwowa, broszurę: „Na temat wychodźstwa w pierwszym okresie dziejów „rewindykowanej“ Galicyi, Lwów 1914“, niebawem zaś drugą broszurę p. t. „Adolf Leopold Mussil de Mussilau, (szkie biograficzny) Lwów 1915“.

Nastąpiła tymczasem katastrofa....

ROZDZIAŁ II.

STRAŻ OBYWATELSKA. — WKROCZENIE WOJSK ROSYJSKICH DO LWOWA. — KONFISKATA BRONI. — KRADZIEŻE I RABUNKI. — MIEJSKIE TELEFONY. — ODPOWIEDZIALNOŚĆ I KŁOPOTY. — POSZUKIWANIA ROSYAN ZA PODZIEMNYM PRZEWODEM. — WYGLĄD GMACHU POCZTOWEGO. — WALKA O POSADY. — PERSONAL TELEFONÓW U RUTOWSKIEGO. — SEKATURY ZE STRONY ROSYAN. — ZAJĘCIE TELEFONÓW PRZEZ RZĄD ROSYJSKI. — NIEWYPŁACONE PRZEKAZY I CZEKI. — DORAŻNA POMOC DLA PAŃSTWOWYCH FUNKCYONARIUSZÓW.

Wojska austro-węgierskie opuściły mury stolicy kraju, na szczycie ratusza ukazała się flaga o barwach imperium rosyjskiego. Rada miejska uchwaliła proceder przyjęcia wojsk nieprzyjacielskich, uchwaliła środki zapobiegawcze przeciw ewentualnym próbom prowokowania wkraczających oddziałów, uchwaliła i przeprowadziła bezzwłocznie, projektowane już poprzednio uformowanie „Straży obywatelskiej“. Prezydyum Rady, złożone z dra Tadeusza Rutowskiego, dra Leonarda Stahla i dra Filipa Schleichera, wydało odpowiednią odezwę do ludności miasta i chwyciło ster władzy w swoje dłonie.

Wstąpiłem i ja do szeregów „Straży obywatelskiej“ w dzielnicy VI-tej, pod komendą Ferdynanda Ohly'ego, i ujrzałem się w licznej gronie inteligencji, między innymi w gronie profesorów Politechniki i Uniwersytetu, byłego namiestnika Galicyi dra Leona hr. Pinińskiego tudzież Stanisława hr. Badeniego.

Pierwszy „chrzest“ na polu nowego obowiązku otrzymałem jeszcze bezpośrednio przed wymarszem ostatnich kilkudziesięciu austriackich żołnierzy policyjnych, otrzymałem go na placu Wacława Dąbrowskiego, gdzie mnie zawezwano do poparcia swoją powagą stójkowego, usiłującego usunąć leżącego na ziemi opoja.

— „Gadacie“ — bełkotał tenże — „że jestem piany... a gdzie mogłem się upić, gdy wy, dygnitarze miejscy, kazaliście pozamykać wszystkie szynki. Teraz na złość wam, nie wstanę z ziemi, niech tutaj zginę na miejscu“.

Nie łatwym było zadanie „Straży obywatelskiej“, gdy po wymarszu wojsk austriackich, wywiezieniu rannych, po wyjeździe ludności cywilnej, przemarszu uciekających z okolic Winnik taborów wieśniaczych z bydłem i dobytkiem, rzuciły się bandy rzezimieszków i apaszów do rabowania prywatnych lokalów, sklepów, do rabowania koszar i magazynów kolejowych, gdy tu i ówdzie poczęły wybuchać ognie i pożary. Gromady tych rzezimieszków i apaszów wzmocniły się wtedy wydatnie zastępami „porządnej“ pozornie ludności, robotników, stróżów, dozorców, suterenerów, ćwierć i pół inteligentnych amatorów łatwej zdobyczy. Nie brakło też między nimi i przedstawicieli sfer lepszych, a nawet i członków „Straży obywatelskiej“, korzystających z miłej sposobności.

Smutne to, ale prawdziwe....

Od tej chwili datowała się względna zamożność nie jednego nicponia i nieroby.

Przy wkroczeniu wojsk rosyjskich do Lwowa, kazał generał v. Rode*) ogłosić plakatami szereg rozporządzeń przyczem musiało dostarczyć miasto 16 zakładników t. j. 4 Polaków, 4 Rusinów, 4 Moskalofilów i 4 Żydów, jako gwarantów spokojnego zachowania się ludności. Wyszedł też „ukaz“ złożenia do dnia 4 września 1914, godziny szóstej rano wszelkiego gatunku broni, znajdującej się w rękach mieszkańców grodu. Warto było zaprawdę widzieć jak, pod grozą surowych represyj, znosiła ludność przez całą noc inkryminowane, różnorodne orężę i oddawała je w biurze Magistratu. Równocześnie, o czym nie wielu atoli wiedziało, odbierało broń Archiwum miejskie, zwłaszcza broń starożytną, o wartości muzealnej. Pod pokrywką zbierania broni muzealnej, brało Archiwum także broń nowoczesną i ono jedynie uratowało nagromadzone u siebie zapasy, mnogie tysiące sztuk bowiem, zdeponowanych w biurach Magistratu, padły niebawem ofiarą chciwości Rosyan. Zabrali je bez pytania i wyrządzili niejednemu dotkliwą szkodę.

Poszkodowanym byłem i ja; straciłem 15 sztuk broni, będącej bądź to moją własnością, bądź własnością mego syna Witolda. Składały się na nią okazy pamiątkowe, jak strzelba myśliwska mego śp. ojca, floret po moim wuju, radcy dworu Karolu Setti da Forli, mój dawny pałasz oficerski, stare pistolety w mosiężnem okuciu, rewolwer kawalerzycki, rewolwer kieszonkowy, obok pałaszów urzędniczych i innych sztuk oręża.

Nie lada kłopot miałem z bronią schowaną w pomieszczeniu Padlewskich. Nie zdołałem odszukać jej w oznaczonym terminie, a gdy znacznie później odkryłem kryjówkę, groziła mi na wypadek schwytania surowa kara. Ostatecznie wyszedłem szczęśliwie z matni, tak samo jak wyszedł szczęśliwie i syn mój Zdzisław, gdy mu w kilka miesięcy później poruciła władza

*) Poległ w parę dni później w ogniu dalszych bitew pod Janowem obok Lwowa.

sądowa opiekę nad pomieszkaniem nieobecnego kuzyna inżyniera Stanisława Sławińskiego, w którym to pomieszkaniu znajdowała się broń sieczna,



W willi Sewerynowstwa Kaczkowskich w Winnikach.

Od góry: Jadwiga Kaczkowska, Dyr. Józef Chołodecki, Inż. Stanisław Sławiński, Janina (Witoldowa) Chołodecka, Inż. Zdzisław Chołodecki, Bronisława Sławińska, Dr. Witold Chołodecki, Seweryn Kaczkowski.

(Fotogr. Józef Kościeszka Jaworski).

Nie zdołałem jeszcze przyjść do siebie po przykrych, bolesnych wrażeniach, doznanых wskutek gwałtownego przewrotu w mieście i w kraju całym, gdy doszły mnie wieści o splondrowaniu przez mściwe, ciemne chłopstwo z Winnik i Mikła-

szowa, willi i ruchomości moich dzieci w Winnikach. Chuć niszczenia, popychała bezmyślne tłumy do tłuczenia bez racji i osobistej korzyści, kawałków kruchych, do rozcinania obrazów, darcia w strzępy sukien itp. Przemarsz wojsk rosyjskich dokończył dzieła rabunku. Poździerali, powyrwali mosiądz i żelazo u drzwi i okien, bawialny pokój przekształcili na stajnię dla koni, a po parkietach roznicali palenisko pod kotły i zapuścili przytem po dwakroć ogień do budynku. W parę miesięcy później wybrała się córka moja, Kaczkowska, w towarzystwie członka „Straży Obywatelskiej“ Emanuela Sygiericza do Winnik, odkryła nieco zrabowanych przez chłopów rzeczy, co główna zaś, odkryła winowajców i ułatwiła tem mężowi swojemu wystąpienie przeciw nim w drodze sądowej.

Gdy w dniu 2 września r. 1914 zamknęły urzęda pocztowe swe czynności, poprzerywały przewody telegraficzne i międzymiastowe telefoniczne i opuścili mury Lwowa, zostało miasto pozbawione zupełnie lokalnej nawet komunikacji, tak niezbędnej w ogóle, a zwłaszcza w dniach trwogi, klęsk i nieszczęść, w dniach grabieży, rabunków i orgii apaszów. Odczuł to straszne położenie ludności, a i władz miejskich nie zrównany w troskliwości prezydent dr. Tadeusz Rutowski i postanowił skorzystać z jedyne go stojącego mu do dyspozycji środka, z nieuszkodzonej miejscowej sieci telefonicznej. W tym celu ogłosił w czasopiśmie komunikat: „Wzywa się mechaników sekcji telefonów i telegrafów, oraz funkcyjnarjuszki centrali telefonicznej, aby zjawili się do służby, dziś, 5. września, między godziną 12—1 w południe w sekcji telefonów ul. Kopernika“. *Rutowski m. p.*

O oznaczonej godzinie przybyli do gmachu pocztowego liczne rzesze funkcyjnarjuszów płci obojga, i przerażone widmem skrajnej nędzy, prosiły o przyjęcie do służby w miejskiej instytucji komunikacyjnej. Samych kobiet stanęło do apelu 78, a to 32 dawnych oficjantek i 46 substytutek. Pomiedzy przybyłymi rozpoczęła się emulacja o miejsca tak podkomendne jak i wyższe, a gdy w szranki kandydatów o naczelne kierownictwo nowej instytucji wstąpił także podurzędnik, powstał odrazu rozstrój wśród personalu urzędniczego. W tej godzinie zjawili się u mnie w domu delegaci, kontrolor pocztowy Łukasz Kurmanowicz i pocztmistrz Arian Dąbczewski z prośbą, o bezzwłoczne stawienie się w biurze prezydenta Dra Rutowskiego. Dla zyskania na czasie odjechałem do ratusza ekwipażem pocztmistrza stajniczego Antoniego Mogiły Stankiewicza, który szukał właśnie porady i pomocy w kierunku zdobycia środków do utrzymania siedmdziesięciu przeszło koni stojących bezużytecznie po wyjeździe urzędów pocztowych. Bezradny wobec obaw olbrzymich wydatków, bez żadnych dochodów, narażony na ewentualną konfiskatę koni przez władze rosyjskie, żalił się przedemną, iż Dyrekcyja pocztowa nie kazała naładować do stojących na podwórzu gmachu, wozów, cenniejszego

materyału jak np. aparatów Hugesa i wywieść po za rogatki Lwowa. Byłaby wtedy uratowała wozy i kosztowny materyał, jaki popadł w ręce wojsk rosyjskich, a jego (Stankiewicza) uchroniła od troski żywienia koni.

Za przybyciem do ratusza otrzymałem jako członek „Straży obywatelskiej“ polecenie dra Rutowskiego, zrazu ustne, w parę dni później zaś, pisemne, zorganizowania i sterowania miejską komunikacją telefoniczną.

Oдноśny dekret z daty 8. września 1914 r. l. 1903/pr. opiewał:

„Prezydent król. stoł. miasta Lwowa. Do Jaśnie Wielmożnego Pana Józefa Białynia Chołodeckiego, emeryt. c. k. starszego radcy pocztowego we Lwowie. Poruczam JW Panu zorganizowanie i sterowanie miejskim Zakładem telefonicznym przy użyciu centrali i urzędzeń państwowych w głównym gmachu Dyrekcyi pocztowej. Zarazem zechce JW Pan pośredniczyć w kwestjach pocztowych i telegraficznych pomiędzy miastem Lwowem a zarządem poczt rosyjskich.

Potrzebny do zorganizowania telefonów personal, należy pozyskać w drodze poleceń, wystosowanych do funkcyonaryuszów pocztowych, którzy pozostali tutaj po ewakuacyi Lwowa.

Liczę, że JW Pan nie odmówi mi w tej mierze pomocy“. *Rutowski m. p.*

Złożona w moje ręce misya, obarczyła mnie nie lada odpowiedzialnością. Rozchodziło się o salwowanie stanowiska instytucyi i teje personalu, z jednej strony wobec rządu austriackiego, z drugiej strony wobec władz okupacyjnych, rozchodziło się o zachowanie powagi i godności miejskiego zakładu wobec czynownictwa, o zajęcie jak największej ilości materyału telegraficznego i telefonicznego, pozostawionego przez zakład austriacki, przynajmniej o niewypuszczenie z rąk dwóch ubocznych magazynów, ulokowanych w prywatnych domach, w końcu rozchodziło się o jak najrychlejsze i najobszerniejsze zastosowanie jedyne go, możliwego środka komunikacyjnego do piekących potrzeb miasta i ludności. Tymczasem piętrzyły się przedemną trudności, stawiane nie tylko przez wojska i władze rosyjskie, ale co więcej, przez jednostki i osobniki lokalne, kierowane prywatnym interesem, nie mające pojęcia o tem co możliwem a co niemożliwem, nie mające wyobrażenia o takto wnym postępowaniu w tak ciężkich chwilach, nie pomne na skutki, jaki beztakt spowodować musi.

Nie uprzedzajmy atoli wypadków.

Już w dniu 6. września 1914 wysłałem do prezydenta dra Rutowskiego dwa sprawozdania, jedno donoszące o dobrym stanie miejskiej sieci telefonicznej, a tem samem o intencyi władz austriackich do dalszego z niej korzystania, drugie zaś projektujące oddanie pod nadzór i straż stosu materyałów, leżącego na podwórzu gmachu pocztowego, innemi słowy zajęcie materyałów tych na rzecz miasta.

Nie zdołałem jeszcze otrzymać odpowiedzi od prezydenta, gdy oto zjawił się w gmachu pocztowym oddział piechoty z oficerem na czele i pozaciągał strażę, w ślad za tym oddziałem zaś wpadło grono innych oficerów i telegrafistów rosyjskich i rzuciło się na aparaty międzymiastowe. Na czele tego grona stał pułkownik, jeśli się nie mylę, nazwiskiem Kawalirów. Na zapytanie otrzymał on od nas odpowiedź, iż telefony międzymiastowe, ulokowane w sąsiednim pokoju, a przez ustępujące władze austriackie poprzerywane, nienadają się zupełnie do użytku.

W obec tej informacji oświadczył pułkownik, iż ja, dalej inżynier Roman Garwuliński, tudzież naczelnik ruchu kontrolor Łukasz Kurmanowicz, będziemy musieli podpisać gwarancyjny rewers, jako odpowiedzialni za ewentualne porozumiewanie się ludności Lwowa przy pomocy telefonów, z armią austriacką.

Miły, zaprawdę, horoskop nałożenia w danym razie głową za niezawisłe od nas czyny osób trzech!

Nie dowierzając zapewnieniom o przerwaniu przewodów międzymiastowych, zasiedli tymczasem rosyjscy czynownicy do aparatów i poczęli nawoływać Przemyśl, Kraków i inne miasta, leżące wzdłuż trasy telefonicznej. Była to, przyznam się, nader denerwująca dla mnie chwila. Wiedziałem że linie są poprzerywane, lecz gdyby tak nie były w całości poprzerywane i zupełnie zniszczone, gdyby tak na jakie: „hallo“! odezwał się ludzki głos z przeciwnej strony, czyż nie byłibyśmy poznachodzili się wszyscy przed wylotem luf karabinowych, lub przed pętlą kata?

W chwili, gdyśmy oświadczyli gotowość podpisania żadanego rewersu, nadszedł naczelnik komunikacji ósmej armii, kapitan Skłodowski, zmoskwicony Polak, i zadecydował ostatecznie zupełne zamknięcie ruchu i służby w centrali telefonów, wydalenie personalu, ustawienie w budynku „karaulów“ i wzbrowienie tamże dostępu miejscowej ludności.

Z żalem opuścił nasz personal mury gmachu pocztowego, a miasto zostało pozbawione na przeciąg kilku tygodni tak potrzebnej komunikacji.

Nie skończyła się na tem moja odpowiedzialność za ewentualne rozmowy międzymiastowe z wojskami austriackimi. W trzy dni później zażądała komenda ósmej armii od prezydium Magistratu, dostawienia mnie do kancelaryi kapitana Skłodowskiego „w celu udzielenia fachowych wyjaśnień“, wskutek czego wezwał mnie wiceprezydent dr. Leonard Stahl, do spełnienia polecenia. Skłodowski, urzędujący po za całym łańcuchem porostawianych straży, rzekł do mnie w stanowczym tonie:

— „Wojskowość rosyjska ma wiadomości o istnieniu podziemnego przewodu pomiędzy Lwowem a Przemyślem i Wiedniem, wzywam pana kategorycznie do udzielenia mi bliższych wyjaśnień“.

— „Nie jestem i nie byłem urzędnikiem technicznym“ — odparłem również stanowczo — „lecz tylko urzędnikiem administracyjnym, obecnie od lat pięciu na emeryturze, to też nie mam w poruszanej kwestyi żadnych bliższych fachowych wiadomości. — Pewny jednak jestem, iż twierdzenie o istnieniu podziemnego kabla do Przemyśla i Wiednia polega jedynie na błędnej informacyi i nie jest zgodne z rzeczywistością“.

— „Nam musi imieniem miasta odpowiadać ktoś za telefony“ — oświadczył mi na to Skłodowski — „a ponieważ pana zastaliśmy na stanowisku naczelnika biura telefonicznego, więc uważamy go za odpowiedzialnego. Zresztą niech pan wezwie mechanika i jedzie z nami na pocztę.“

W gronie Skłodowskiego, drugiego jakiegoś oficera i rosyjskich elektrotechników musiałem, rad nie rad, udać się autobilem, na miejsce i być, razem z naczelnym mechanikiem, Emilem Préyerem świadkiem, jak komisya badała szczegółowo w piwnicach, ażali niema połączeń międzymiastowych, a po stwierdzeniu ujemnego rezultatu, uzupełniła jeszcze „dla pewności“ poczynione przez austriackich funkcjonaryuszów uszkodzenia przewodów.

Nie dość na tem. Wywieziono mnie na dworzec i żądano, abym był obecny przy ewentualnem niszczeniu kolejowych kabli, w końcu i kabli tramwajowych. Z wielką trudnością wytłumaczyłem Skłodowskiemu, że tak z koleją, jak i z tramwajem nie miałem nigdy i nie mam służbowej styczności. Ostatecznie skierowałem komisję do dyrektora zakładów elektrycznych Józefa Tomickiego. Wypuszczono mnie wprawdzie z opisanych więzów, lecz nie wypuszczono bynajmniej z pod nadzoru żandarmerji i osławionej ochrany, a w parę tygodni później, przestregając mnie dr. Rutowski słowami:

— „Bądź pan przezorny i ostrożny w swoich czynach i słowach, gdyż mówił mi generał gubernator Jerzy Bobriński, iż wobec ducha pańskich prac historycznych o powstaniach w Polsce, masz pan fatalną markę u rządu rosyjskiego, więc możesz za lada jednym, niebacznym krokiem, znaleźć się na Syberji.“

Przyjemną zaprawdę to było nowiną, tak dla mnie jak i dla mej rodziny!

Podziemny kabel pomiędzy Lwowem a Przemyślem, to przedmiot długich, bezustannych poszukiwań i badań ze strony rosyjskich komend wojskowych. W samym budynku pocztowym miał w tym kierunku specjalne instrukcje przydzielony do nadzoru rosyjskiego biura telegraficznego kapitan Stadler. Ponadto kopano jamy w pocztowych piwnicach, przekopywano drogę wiodącą na Wysoki Zamek, zniszczono lokalny przewód wzdłuż ulicy Teatyńskiej, przeprowadzano ściśle rewizye w klasztorze SS. Miłosierdzia, w Muzeum, nabytem przez miasto od spadkobierców śp. Władysława Łozińskiego przy ulicy Ossolińskich l. 3., inkomodowano tamże po kilkakroć dyrektora Archiwum dr. Aleksandra Czołowskiego, niemniej Edwarda Webersfelda,

niedano spokoju gmachowi Strzelnicy miejskiej, gmachowi Sokoła, zagłębiano się nawet na dno stawu Pełczyńskiego. Wszystko nadaremnie! Nie potrzebuję bliżej wyłuszczać, iż dla celów wojenno-polowych urządziła komenda ósmej armii własne przewody, poprzecigała w tym celu druty przez ulice miasta, oparła je o latarnie, słupy tramwajowe, przydrożne drzewa etc. i zagroziła sądem wojennym nie tylko sprawcom przerywania drutów, ale także i właścicielom kamienic za brak dozoru, nad połączeniami, biegnącymi obok ich realności. W jaki sposób mieli ci właściciele zapobiegać psuciu przewodów, tak łatwo dostępnych dla przechodniów, tak łatwo ulegających przerwaniu, nie pouczało bynajmniej surowe rozporządzenie.

Mając do dyspozycji potężny zastęp pieszych i konnych ordynansów, zaprzęgi i automobile, nie odczuwały administracyjne władze rosyjskie potrzeby innego środka komunikacyjnego, nie odczuwały niedomagań w tym kierunku, na jakie były narażone władze miejskie, na jakie była narażoną ludność Lwowa. Daremnie kołatał dłuższy czas dr. Rutowski o oddanie miastu do dyspozycji centrali telefonów, o pozwolenie otwarcia ruchu; widmo porozumienia między mieszkańcami Lwowa, a komendami wojsk austriackich, mąciło ustawicznie spokój miarodajnych czynników. Tymczasem szerzyły się groźne po mieście epidemie; do dyfteryi i tyfusu przyłączyła się cholera i zwiększyła nielada ambaras i troskę organów sanitarnych.

Pod naciskiem prośb dr. Rutowskiego poczęły ostatecznie ustępować władze rosyjskie, chcąc jednak jak najdłużej przewlec udzielenie koncesyi, zażądały zestawienia kosztorysów i programu organizacji miejskiej instytucyi. Rozpoczęła się wyczerpująca dla mnie praca, wymagająca pośpiechu, szybkiej w każdym kierunku decyzji, i bezzwłocznego obliczania przychodów i rozchodów. Zabierały przy tem wiele czasu konferencje i wprowadzały w kłopot dr. Rutowskiego, który zajęty stekiem innych donośnych spraw, decyzji i zarządzeń, musiał częstokroć brać udział w roztrząsaniu mniej znanych mu kwestyj organizacji telefonów.

Zdobyło nareszcie miasto upragnione pozwolenie, a designowany do służby w nowo powstającym miejskim zakładzie personal, mógł rozpocząć swe obowiązki. Nasamprzód zarządziłem naprawę tych przewodów lokalnej sieci, tych urządzeń, które zniszczyła w międzyczasie dewastująca ręka, bądź przy poszukiwaniu za podziemnymi kablami, bądź pod wpływem chciwości zysku i chuci niszczenia, a gdy objąłem w dniu 25 września r. 1914 na czele personalu, ster służby miejskiej, zastałem potężne zmiany w gmachu głównej poczty. Zniknęły z podwórza stosy materiałów telegraficznych i telefonicznych, wywiezionych i zużytkowanych przez wojsko rosyjskie dla własnych celów, zniknął park kosztownych wozów, a miejsce ich zajęły pośpolite zaprzęgi, stajnie dla popasających koni, góry śmiecia i gnoju. W westybulu głównego gmachu brodziły hurmy sałdatów wśród

strzępów papierów, powyrzucanych z biur pocztowych, listów, przekazów, recepisów, kręcili się roznosiciele gazet, wygłaszający tytuły rosyjskich czasopism, kręcili się przekupnie widowisków, porozwieszanych po ścianach lub porozkładanych po stołach, i przekupnie przekąsek, specyałów żołnierskich, wypędzani częstokroć za drzwi, o ile nie mogli wylegitymować się pozwoleniem władz rosyjskich. Po bramach, drzwiach, schodach i kurytarzach stały strażę z najeżonemi bagnetami i broniły wstępu nieposiadającym przepustek, w parterowych biurach sortowali własny materiał pocztowi czynownicy, po salach aparatowych zaś gospodarowali w całej pełni nowi panowie gmachu.

Nam, miejskim urzędnikom, wydano przepustki dla legitymacji w obec *karaulów* i pozwolono zająć główną salę centrali telefonów, oraz trzy boczne ubikacje. Wstęp do biur rosyjskich, zwłaszcza zaś do sal telegraficznych, strzeżonych przez wartę żołnierzy, był surowo zabronionym. Zresztą któżby to był miał i ochotę zazierać do tych biur i sal i narażać się na podejrzenie podsłuchiwania i szpiegowania tajemnic i rozmów! Pomimo przepustek nie łatwem było dla personalu dostanie się do centrali telefonów, a to wobec ograniczonego stanu umysłowego sałdatów. Dla nieumiejących czytać była wyrocznią w tym kierunku pieczętka na przepustce, najmniejsza zaś, najdrobniejsza zmiana w wyglądzie tej pieczętki obudzała podejrzenie i obawę. Pamiętnym mi wypadek, w którym posterunek u głównych schodów zatrzymał w westybulu cały personal, jedynie dla tego, iż zauważył na jednych przepustkach pieczętki o barwie ciemniejszej, aniżeli na drugich przepustkach. Daremnemi były perswazyje urzędników rosyjskich, daremnemi wyjaśnienia i rozkazy rosyjskich oficerów. Sałdat zagroził bagnetem drogę i odpowiadał stereotypowo, że dopotąd nie wpuści nikogo, dopokąd nie otrzyma pozwolenia od gefreitra, który go na tym postawił posterunku. Nie było rady, żądaniu *karaula* musiało stać się zadość.

Personal miejskich telefonów składał się wyłącznie z dawnych funkcyjaryuszów austriackiego zakładu pocztowego i telegraficznego; wyjątek stanowiły jedynie dwie kandydatki, przydzielone do nauki na wyraźne życzenie dr. Rutowskiego, który chciał w ten sposób wynagrodzić im pewne zobowiązania, zaciągnięte przez miasto od nich, jako dawnych miejskich nauczycielek.

Ułożenie listy funkcyjaryuszów, to jedna z najbardziej przykrych czynności, jakie przypadły mnie w udziale. Pozbawione środków egzystencji, niepewne jutro, rzesze, rzuciły się gorączkowo do zdobywania posad, a tymczasem i dziesiąta nawet część petentów nie mogła być uwzględniona. Odczuwając materialne potrzeby kandydatów i kandydatek rad byłem, jak największą tychże zaopatrzyć liczbę, tymczasem ani interes służby nie wymagał, ani fundusze nie pozwalały na opłacanie sił nadliczbowych. — Powstały więc właśnie, spory i walki o byt, które

nie tylko zatruwały mnie spokój, ale podkopywały nawet przyszłość całej miejskiej instytucji. Prym wiodli w tych niemiłych walkach: były inżynier technicznego oddziału lwowskiej Dyrekcji poczt i telegrafów Jan Kunert i Marya Morgenrothowa, występująca pod swem panięńskim nazwiskiem Kazeckiej. Pierwszy z nich zjawił się u mnie z polecającą kartką w ręce, jako kandydat na posadę inżyniera miejskich telefonów. Musiałem z miejscą odmówić jego prośbie, gdyż był on wpłatanym właśnie w śledztwo dyscyplinarne i przeniesionym za nadużycia służbowe z posterunku komisarza budownictwa i naczelnika sekcji w Tarnopolu, na niższe stanowisko oficjała pocztowego, czyli urzędnika ruchu. Przyjęcie go do służby miejskiej byłoby przeto lekceważeniem zignorowaniem powagi lwowskiej Dyrekcji pocztowej, względnie Ministerstwa handlu. Udzieliłem w tym kierunku wyjaśnień dr. Rutowskiemu i dr. Stahlowi i otrzymałem zupełną aprobatę mojego postąpienia.

W zamian za moją lojalność doznałem atoli później (jak będzie o tem mowa w następnym rozdziale) ciężkiej przykrości, gdy Kunert, z zemsty, posunął się do niegodnego czynu fałszywej denuncjacji skierowanej przeciw mnie i kilku innym osobom i wywołał groźne, acz bezskuteczne wkroczenie przeciw nim sądu wojennego.

Postępowanie Morgenrothowej-Kazeckiej inne znów spowodowało fatalne komplikacje, jak to zobaczymy z toku dalszych opowieści.

Nie brakło też nacisku ze strony licznych znajomych, a i nieznanym, popierających kompetencje różnych pań i panien o posady telefonistek. Do szeregu protektorów należeli rosyjscy czynownicy i oficerowie, którzy, porobiwszy rychło znajomości w sferze więcej lub mniej nadobnych niewiast, usiłowali ulżyć swej kieszeni, na rachunek instytucji telefonów. Ładnie wyglądała instytucja w razie spełniania tego rodzaju żądań! Musiałem odmawiać, a temsamem zwiększać ilość czarnych kresek, notowanych w opinii rosyjskich organów władzy.

Ostatecznie ustaliłem listę personalu, wybierając na kierownika oddziału technicznego wspomnianego inżyniera Romana Garwulińskiego, na kierownika ruchu kontrolora pocztowego Łukasza Kurmanowicza, na kierownika warsztatów, oficjała mechanika Emila Preyera, podczas gdy sekretaryat spoczął w rękach biegłej w piórze, adjunktki Maryi Mazurkówny, służba na sali zaś w rękach, na razie, piętnastu tylko adjuntek, oficjantek i praktykantek. Przy wyborze tychże ostatnich sił biurowych kierowałem się względami na ich rangę w służbie państwowej austriackiej, z jednej, na zdolność i wydatność w pracy z drugiej strony. Musiały one posiadać rutynę, a przytem fizyczne siły i zwinność do szybkiego przerzucania się na sali od jednego do drugiego zgłaszającego się abonenta. Podczas gdy w naturalnych warunkach ma telefonistka cały dodział

abonentów na jednym skupiony zmienniku, byli oni wówczas, w nieznaczonej jeszcze istniejącej ilości, porozrzucający po różnych zmiennikach. Spełniać uciążliwe zadanie mogły więc jedynie osoby przytomne, wprawione w służbę, a nie zaawansowane zbyt w latach, nie pozbawione fizycznej sprężystości.

W ciągu najbliższych tygodni uległ nadmieniony personal o tyle zmianie, iż na miejsce inżyniera Garwulińskiego, który ustąpił dobrowolnie z posady, objął służbę 7. października 1914. przybyły z Tarnopola, mój syn, inżynier Zdzisław Chołodecki, do poczty telefonistek zaś wstąpiła dalsza oficyantka i kilka wolontaryuszek, pragnących zyskać w ten sposób pierwszeństwo na wypadek wakansów lub zwiększenia personalu.

Każdego urzędnika i każdą telefonistkę zaopatrzyłem, z kilku względów, w dekreta pisemne następującej treści:

„Zarząd telefonów we Lwowie. Do Pana (Pani) . . . we Lwowie. Na skutek zarządzenia Pana Prezydenta król. stoł. miasta Lwowa z dnia 8. września 1914 L. 1903/pr. z r. 1914. wzywam Pana (Panią) niniejszem do pełnienia służby telefonicznej w obrębie tegoż miasta.

W tym celu należy zgłosić się u mnie w centralnem Biurze telefonów, w gmachu pocztowym.

Bliższe szczegóły zostaną Panu (Pani) później zakomunikowane. Lwów, dnia . . . 1914. (Podpis).“

Mechanicy i monterzy byli płatni dziennie i pobierali wynagrodzenie za robociznę na podstawie list tygodniowych, personal urzędniczy pobierał swe należitości miesięcznie, względnie w odstępach dwutygodniowych.

W połowie października 1914, udzielił Generalgubernator pozwolenia przyjmowania i włączania do miejskiej sieci telefonicznej także i prywatnych abonentów, postawił atoli za warunek, iżby personal telefonów przyswoił sobie w najkrótszym czasie umiejętność w władaniu językiem rosyjskim, i mógł porozumiewać się należycie z wołającymi centralę Rosyanami. Porozumienie to ograniczało się do kilkudziesięciu zwrotów stereotypowych rozmowy, których wyuczenie nie przedstawiało wielkich trudności. Moją tendencją było więc, aby przyjęte telefonistki przyswoiły sobie niezbędne zapytania i odpowiedzi. Prezydent dr. Rutowski polecił mi tymczasem przyjąć kilka kandydatek do wyłącznej obsługi abonentów Rosyan, umieścił w tym celu w publicznych czasopismach, na własną rękę, odpowiedni anons i naładował mi na barki cały zastęp nowych, różnorodnych kompetentek, posiadających, albo nawet i nie posiadających zupełnie powyższego warunku, a popieranych przez niepowołanych petentów i protektorów. Szukały one nacisku z góry ze strony Gradonaczelnika, albo i Generalgubernatora.

Wśród tego rodzaju sytuacji zjawilem się wraz z całym personelem urzędniczym obojga płci w Prezydium miasta, aby przedstawić nowonabyte siły współpracowników w pierwszym

rzędzie dr. Rutowskiemu, następnie zaś dr. Leonardowi Stahlowi, jako referentowi instytucji i przedsiębiorstw miejskich.

W przemowie do dra Rutowskiego podniosłem tegoż zaślugi, położone około dobra miasta Lwowa i jego ludności. — „Chwytając ster ogółu spraw w swoje energiczne dłonie“, — rzekłem — „zdobywając z podziwu godną umiejętnością środki materialne na pokrycie niezliczonych wydatków, jakich brzemień zaciężyło nad miastem i tegoż zasobami, roztaczając opiekę nad łaknącemi kawałka chleba rzeszami mieszkańców grodu, a i licznych przybyszów, rozbitków, szukających tutaj przytułku, uzyskałeś, Panie Prezydencie, na rzecz miasta, zdobyć w dziale komunikacji, uzyskałeś instytucję miejskich telefonów. Zwiększyła ona o jedno dalsze przedsiębiorstwo szereg kwitnących oddawna miejskich zakładów. Dziś staję przed Tobą, Panie Prezydencie, skromny zawiązek nowych miejskich pracowników na polu komunikacji, ażeby złożyć Ci wyrazy szacunku i prosić o opiekę nad instytucją, która wskutek wojny doznała uszkodzenia i musi być odnowiona...“

— — — — —
„Stajemy“ — rzekłem na końcu — „do usług miasta i radować się będziemy, jeśli ujrzysz, Panie Prezydencie, rychło pomyślny rozkwit telefonów miejskich, owoc Twej zapobiegliwej troskliwości...“

W odpowiedzi swej wyraził dr. Rutowski radość z powodu uzyskania przez miasto tak ważnej instytucji i nadzieję rychłego rozwoju jej działalności. Wkońcu zwrócił się do personelu z prośbą, iżby miał zawsze na oku dobro mieszkańców i starał się wywiązać ze swego trudnego „w obecnych czasach“ zadania.

Prawdziwie uradowanym musiał być w tej chwili dr. Rutowski, skoro pomijając formy oficjalnego konwenansu, uściskał mnie i wycierał serdecznie.

Tego samego dnia wieczorem odbył się obiad u dr. Rutowskiego na 40 nakryć, na którym powitał tenże nowy zakład telefonów, wznosząc toast w moje ręce. Wyraziłem — odpowiadając — prośbę, aby radni miasta i koledzy Magistratu zechcieli przyjąć nas, urzędników miejskich, do swego grona, z takim samem sercem, z jakim my do nich się zbliżamy.

Przemówienie moje przyniosło mi znowu jedną czarną kreskę w tabeli, prowadzonej przez władze rosyjskie. Uczyniły mi one zarzut, iż nie wspomniałem, z należnym entuzjazmem o Generałgubernatorze hr. Bobrińskim, jako dobrodzieju miasta, obdarzonego, z jego łaski zakładem telefonów, nie pozwoliły też z mocy cenzury, wydrukować czasopismom całego tekstu mego przemówienia, a tylko niektóre tegoż ustępy.

Odezwał się tymczasem, wśród zgodnej, harmonijnej nuty, niemiły zgrzyt, jakiego autorką była wspomniana już poprzednio Marya Morgenroth-Kazecka, która, wyczekując w przedpokoju dr. Rutowskiego, skierowała do mnie żądanie, abym

przy obsadzie posad telefonistek dał pierwszeństwo jej kuzynce, a także drugiej, najstarszej wiekiem kandydatce Paulinie M. Otrzymawszy odpowiedź, iż obie kandydatki będą przyjęte do biura, lecz dopiero później, gdyż pierwszą z nich poprzedza liczny szereg starszych w służbie i randze, a przytem bardziej rutynowanych koleżanek, druga zaś jako schorzała i podupała na siłach, może pełnić służbę tylko przy pomocy i poparciu współtowarzyszek, do której to pomocy nie posiadają one atoli na razie wolnego czasu, wpadła Morgenrothowa w gwałtowny gniew, i oświadczyła, że jej wola, jako osoby działającej społecznie, powinna być w pierwszym respektowaną rzędzie. Rozchodziło się jej więc nie o interes służby, ale o spełnienie jej woli, nie o dobro publiczne, lecz o — prywatę. Gdy gremialne wystąpienie rzekomo pokrzywdzonych i wytoczenie sprawy przed forum dr. Rutowskiego nie wydało pożądanego rezultatu, uciekły się pod skrzydła redakcyj „Słowa polskiego“ i „Wieku nowego“ i usiłowały przez zjadliwe, a oparte na błędnem oświeclaniu faktów artykuły, zohydzić mnie w oczach publicznej opinii. Paszkwil, zdradzający wyraźnie, tendencję i prywatę, nie osiągnął wprawdzie zamierzonego celu, wywołał jednak w innym kierunku fatalne dla samej sprawy i dla ogółu telefonistek następstwa. Oto bezpośrednio po ukazaniu się artykułu w „Wieku nowym“ zażądał radca Huzarski imieniem Generałgubernatora Bobrińskiego, izby Prezydium Magistratu przy przyjmowaniu telefonistek zarezerwowało miejsca dla tych kandydatek, które władza rosyjska poleci. Był to pierwszy zwiastun przygotowywanych przez rząd rosyjski zmian, pierwszy krok skierowany do pozbawienia miasta Lwowa własnej instytucji, do odebrania telefonów pod zarząd okupacji. Nie szczędzono też potem ze strony Rosyan innych ataków na miejskie telefony, żądano ścisłych dochodzeń, wyszukiwania i karania winnych. Oto pewnego dnia podniesiono zarzut, iż ktoś z funkcjonaryuszów, czy funkcyonaryuszek telefonów świstał rozmawiającemu przez aparat w ucho, lub też, iż ktoś, w czasie nocnej służby, na zapytanie, gdzie jest dyżurna telefonistka odpowiedział, iż poszła „pod Przemyśl“. Wypadki takie podnosiły władze okupacyjne do rzędu tendencyjnej prowokacji. Drugi z nich był zaś tem dotkliwszy dla Rosyan, iż długo trwające obleżenie Przemyśla przyprawiało ich o dotkliwie straty, a lwowskie przekupki kpiąc sobie z bezsilności w tym kierunku wojsk rosyjskich, wysyłały kręcących się po mieście sałdatów „pod Przemyśl, na gulasz“. Niebawem wezwały władze rosyjskie pozostałych we Lwowie listonoszów do zdeponowania w ręce rosyjskiej poczty torb, przechowywanych przez tychże listonoszów w prywatnych pomieszkaniach, a gdy kontrolor Kurmanowicz zwrócił, na zapytanie, uwagę jednego z nich, iż torby mogą być im potrzebne na wypadek powrotu wojsk austriackich do Lwowa, wywołał tak straszną burzę, iż zdawało się, że przepłaci swą nieprzezorność wywiezieniem na Sybir. Innym znów razem, gdy wezwałem

gazetami dawnych abonentów do składania w zarządzie miejskich telefonów wszystkich znajdujących się w prywatnych pomieszkaniach, a nie używanych aparatów, ściągnąłem znów na moją głowę gwałtowną burzę, w formie interpelacji, jakim prawem považam się kłaść rękę na aparaty, nie mając do tego upoważnienia. Odparłem z spokojem i naciskiem, iż telefony są wyłącznie miejską instytucją, iż do telefonów należą także aparaty telefoniczne w rękach abonentów, że więc Dyrekcyja miejskich telefonów nie potrzebuje od nikogo upoważnienia do zarządzania swoją własnością.

Coby to byli uczynili ze mną i z podkomendnym personałem Rosyanie, gdyby byli wiedzieli o zaanektowaniu, względnie zatajeniu przed nimi dwóch pełnych magazynów z materiałami telefonicznymi i telegraficznymi. Jeden z tych magazynów był umieszczony w pałacyku Ludwiki Jaxa Chamcowej przy ulicy Technicznej 1, i przeszedł później w całości z powrotem, w ręce władz austriackich, drugi został przeniesionym z prywatnego domu przy ulicy Sykstuskiej do składów miejskich Zakładów elektrycznych przy ulicy Czarnieckiego 5. Dowiedziawszy się mianowicie, iż właściciel tego domu, Żyd, żąda zapłaty czynszu za magazyn, grożąc w przeciwnym razie wydaniem materiałów w ręce Rosyan, porozumiałem się z dr. Rutowskim i dyrektorem Zakładów elektrycznych Józefem Tomickim, względnie inżynierem Romanem Januszkiewiczem, poczem wywieźły automobile ciężarowe wszystkie zapasy pod pozorem, iż stanowią one od dawna własność tramwajów. Po powrocie Dyrekcyi poczt i telegrafów do Lwowa, zwróciła jej Dyrekcyja Zakładów elektrycznych nieużyty materiał.

W pierwszym dniu listopada r. 1914 zdziwiła mnie nagle, a niespodziewana wizyta generała Eilera, inspektora rosyjskich poczt i telegrafów, dalej kapitana Stadlera, tudzież jednego ze starszych czynowników telegrafu, którzy oglądali urządzenia Centrali miejskich telefonów i czynili zapiski, dotyczące ilości abonentów, składu i wynagrodzenia personalu tejże instytucji.

Tego samego dnia wieczorem wyjaśniła się sprawa.

Wezwany pod noc do bezzwłocznego jawienia się w mieszkaniu prezydenta, dowiedziałem się z jego ust, iż hr. Bobriński odbiera na skutek wyższych zarządzeń, miejskie telefony na rachunek i własność rządu rosyjskiego. Było to wynikiem — jak oświadczył generał-gubernator dr. Rutowskiemu — przemożności, nakazanej wyższymi względami, iżby tak donośny środek komunikacyjny jak telefon, nie spoczywał w czasie wojny w rękach prywatnych.

W ten sposób został zdecydowany los miejskich telefonów.

Przeprowadzenie sprawy przeciągało się jeszcze całych trzy tygodnie. W tym czasie oglądał zakład zastępca ministra spraw wewnętrznych, tajny radca Dżunkowski, w asystencji licznego sztabu i personalu rosyjskich telegrafów.

Ostatnim dniem urzędowania telefonów, jako miejskiej instytucji był dzień 22. listopada 1914. Wieczorem objął ich zarząd imieniem władzy rosyjskiej, inżynier Komarnicki, poczem przeszły one pod naczelne kierownictwo generała Eilera.

Wskutek zmiany ustąpili z swych stanowisk, obok mnie, inni austriacyscy urzędnicy i urzędniczki, jak syn mój inżynier Zdzisław Chołodecki, kontrolor ruchu Łukasz Kurmanowicz, sekretarka Marya Mazurkówna, tudzież 16 telefonistek. Te ostatnie ustąpiły, pomimo zachęty ze strony nowych władz pocztowych, iżby pozostały na dawnym stanowisku. Gdy jedna z tych telefonistek replikując na zachętę Rosyan, rzekła iż „dyrektor Chołodecki daje swem ustąpieniem przykład podwładnemu personalowi, jak powinien w obecnym postąpić wypadku“, zawołał z pewnem oburzeniem radca Huzarski: „żaden Chołodecki i żaden Kurmanowicz nie mogliby być przyjęci do służby rosyjskiej“.

Nie byliśmy widocznie miłym dla Rosyan zjawiskiem na polu służby publicznej.

Końcowy rezultat dwumiesięcznej administracji miejskich telefonów przedłożony prezydium Magistratu, wykazał 25.239 K. 92 h. w przychodach, 12.049 K. 51 h. w rozchodach, w każdym razie dość znaczną stosunkowo nadwyżkę.

Wkrótce po rozpoczęciu urzędowania w gmachu pocztowym, przystąpili rosyjscy urzędnicy do oczyszczania biur z pozostałych po austriackiej poczcie posyłek, listów, dokumentów i papierów. Nasamprzód wyrzucono stosy niedoręczonych listów i kart korespondencyjnych na podłogę westybulu, gdzie je przerzucała i przeglądała publiczność. Na skutek mej interwencji zabrała cały materiał „Miejska straż obywatelska“, wywiozła na ulicę Piekarską l. 13 do warsztatu blacharskiego Henryka Bogdanowicza i tutaj sortowała i wydawała publiczności. Podobnie jak z listami, postąpili Rosyanie z niedoręczonymi, niezrealizowanymi przekazami. Jedną z takich wyrzuconych paczek przekazów wręczył sądat zbierającemu marki małemu chłopakowi, a z paczki tej otrzymał wiceprezydent Apelacji dr. Jan Dylewski dawno oczekiwany swój przekaz na kwotę 600 koron.

Przy oczyszczaniu biur i sprzedaży Żydom na wagę stosów receptów i innych dokumentów austriackiego Zakładu pocztowo-telegraficznego, pozwolono Zakładowi miejskich telefonów zabrać Dzienniki rozporządzeń Ministerstwa handlu i Okólniki Dyrekcji lwowskiej. Przy tej sposobności kazał delegowany przezeń do odbioru kontrolor Kurmanowicz zabrać biust i portret cesarza Franciszka Józefa i przenieść je do Centrali telefonów. Nazajutrz wpadł do Centrali kapitan Stadler z żądaniem oddania mu portretu monarchy, a przynajmniej ozdobnych rami, które uważał za zdobycz wojenną.

Kwestya niewypłaconych przekazów i czeków, to nielada troska jaka trapiła po ewakuacji mieszkańców Lwowa.

Roznerwowani zapowiedzią wyjazdu, wręczyli urzędnicy kasy pocztowej przy ostatniej swej czynności tylko część przekazów i czeków listonoszom, resztę zaś wrzucili w pośpiechu do kosza i razem z aktami wywieźli do Tarnowa. Do wypłaty tych, wręczonych listonoszom asygnat dodali kasyerzy ponadto same prawie tylko banknoty stukoronowe i uniemożliwili w ten sposób zrealizowanie wielu asygnat, gdyż ani listonosze nie posiadali drobniejszych pieniędzy, ani adresaci nie byli w możności wydawać reszty wypadającej z rachunku.

Powróciwszy do biura zwrócili niektórzy listonosze pieniądze kasie i wyjechali na zachód, inni pozostali na miejscu i zatrzymali gotówkę przy sobie. W parę dni później zeszli się wszyscy, wraz z kilku urzędnikami kasowymi, w pomieszkaniu podurzędnika Józefa Czaykowskiego i uchwalili rozdzielić pozostałe pieniądze pomiędzy siebie tytułem zaliczek. W rezultacie ujrzało się wielu adresatów, emerytów, wdów i sierót pozbawionych środków do życia. Powstał ogólny lament, znalazł wyraz w notatkach dziennikarskich i pobudził jakieś Żydówki do wezwania pomocy władz rosyjskich. Prezydium Magistratu otrzymało na kartce rozkaz gubernatora zaspokojenia pretensyj adresatów i poruciło mnie przeprowadzenie dochodzeń i załatwienie sprawy.

Zrazu miałem liczne trudności, a i niemiłe przejścia. Wpłynęło 1439 reklamacyj poszkodowanych, interesowani funkcyonaryusze pocztowi zaś nie byli bynajmniej skłonni ułatwić mi zadanie. Ostatecznie wydobyłem od listonoszów około 16.000 kor. należnych 89 adresatom. Wypłatę pieniędzy uskuteczniła Dyrekcya miejskiej policji. Wynikiem było zwiększenie liczby mal-kontentów i nieprzychylnych mnie osobników. Grono ich wzrosło jeszcze, gdy jako członek Miejskiej straży obywatelskiej, byłem zmuszony wkroczyć przeciw nadużyciom sklepikarza-Żyda i spowodować ukaranie go grzywną pieniężną, gdy ponadto pociągnąłem do odpowiedzialności ucznia, zabawiającego się strzelaniem na *vivat*, w czasach, w których lada drobny wypadek służył, jak nas pouczał przykład, za pozór do urządzenia pogromu.

Notoryczną rzeczą, iż przy ewakuacji Lwowa 1914 r. nie wypłacono państwowym urzędnikom — jak to powinno było mieć miejsce — kwartalnych poborów, wobec czego ujrzały się mnogie tysiące rodzin bez środków do życia. Przyjść tymże z pomocą uważałem za mój obowiązek, wszedłem więc w tym celu w porozumienie z dyrektorem Banku krajowego dr. Józefem Milewskim, z radcą dworu Karolem Listowskim i prezydentem Sądu krajowego dr. Edwardem Bauchem, w końcu z wyższymi urzędnikami Krajowej Dyrekcji skarbu i zainaugurowałem akcyę, która pochwycona następnie w ręce dra Rutowskiego znalazła rozwiązanie przez udzielanie państwowym

urzędnikom, nauczycielom, emerytom, wdowom i sierotom wydatniejszych zaliczek na ich pobory i płace*).

ROZDZIAŁ III.

ZAJĘCIE W ARCHIWUM MIEJSKIM. — WSPÓŁPRACA NA RZECZ INWALIDÓW. — RELIGIJNE KONCERTA. — ŚWIECONE W ZAKŁADZIE ŚW. TERESY. — MOGIŁY JEŃCÓW NA CMENTARZU ŁYCZAKOWA. — OGRZEWALNIE. — CIEPŁE KĄCIKI. — OCHRONKI. — GNIAZDKA RODZINNE. — WARSZTATY. — ZAKŁAD GŁUCHONIEMYCH. — FEJLETONY W GAZETACH. — ODSIECZ LWÓWA. — SYPANIE SZAŃCÓW. — W PRZEDDZIEŃ POWROTU WOJSK AUSTRO-WĘGERSKICH.

Zwolniony od obowiązków w Miejskim zakładzie telefonicznym, załatwiwszy sprawę niewypłaconych emerytom, wdowom i sierotom należitości, poświęciłem moje siły pracy w Archiwum miasta Lwowa, około porządkowania i katalogowania rycin i sztychów, niemniej zabiegom skierowanym ku ulżeniu doli austriackich inwalidów. A inwalidów tych spora uzbierała się tymczasem rzesza. Wyleczeni, przynajmniej powierzchownie z ran i chorób, pędzili oni, pozbawieni możności powrotu do sadyb ojczystych, smutne dni, pełne tęsknoty za rodzinami, za domowym ogniskiem. Wyrwać tych ludzi z pod niemiłego im nadzoru wroga, otoczyć opieką, stworzyć dla nich o ile możności wygodny, a w każdym razie nie pozbawiony prawdziwej życzliwości zakątek, stworzyć chwilowe przytulisko, oto zadanie jakiego podjęło się grono zacnych opiekunów i opiekunek.

Miasto Lwów, prezydent dr. Rutowski, SS. Felicjanki, ŚŚ. Opatrzności pod wezwaniem Św. Teresy, OO. Zmartwychwstańcy, Siostry Rodziny Maryi, Pelagia hr. Skarbek, Emilia Jędrzejowiczowa, Anna hr. Jabłonowska, Liga pomocy przemysłowej, hr. Siemieńscy-Lewiccy, podali obok liczego zastępu współpracowników pomocną dłoń kalekom. W murach klasztorów, domów i pałacu, rozbrzmiewała różnojęzyczna gwara bojowników, a niestrudzone, niezmordowane Samarytanki, tak w habitach zakonnych, jak i w malowniczych strojach świeckich, spieszyły ochotnie do usług nieszcześliwym, którym los nieszczęśliwił najstraszniejszych cierpień i udręczeń. Starałem się i ja dorzucić cegielkę do zbożnego dzieła, z jednej strony przez odpowiednie artykuły, umieszczane w „Dzienniku polskim“ a zachęcające czytelników do popierania szlachetnych wysiłków, z drugiej strony przez aranżowanie t. zw. koncertów religijnych. Rozpoczęły się one w lutym r. 1915, w otworzonym przez miasto Lwów „Domu inwalidów“ przy ulicy Królewskiej, gdzie wykonawcami byli wirtuoz-skrzypek Robert Poselt, i moja córka Jadwiga zamężna Kaczkowska. Na mój wniosek zaprosiła potem koncertantów hr. Skarbek do schludnego kościółka św. Teresy, gdzie przez kilka niedziel z rzędu „potęgowały“ — jak się wyraził sprawozdawca czasopism — „przedziwne melodye niezna-

*) *Wiek nowy* z 23. września 1914, *Dziennik Polski* z 24. październ. 1914.

ných ogółowi mistrzów, cudnej muzyki kościelnej, wyśpiewane z prawdziwą maestryą na rzewnie wibrujących strunach, przy pełnym niewieściej subtelności i szczerego pietyzmu akompaniamentie organowym, uroczystą chwilę i wzniosły nastrój, wywoływały ciche łkania i łzy ukojenia". Wraz z westchnieniami ulatywała ku Bogu modlitwa szczerza i gorąca, o lepszą dolę, o koniec tych mąk, przez jakie przechodzi tyle milionów ludzi. Jakże rzewną była zawsze chwila, gdy w nawie kościelnej ukazała się kolekta dam w towarzystwie kalek-inwalidów*).

Z kościółka św. Teresy przeniosły się koncerty religijne do innych rz. kat. świątyń Lwowa.

Jedną z najrzewniejszych uroczystości przeżyliśmy w dniu „Wielkiej Soboty“ r. 1915., gdy o godzinie pierwszej z południa przybył do zakładu św. Teresy ks. arcybiskup dr. Józef Bilczewski, aby dokonać osobiście poświęcenia zastawy wielkanocnej, przeznaczonej dla rannych i inwalidów. Zastawa ta, to owoc żmudnych zabiegów i ofiarności pracowników na polu humanitarnem z Pelagią hr. Skarbek na czele. Po odprawieniu modłów i poświęceniu darów Bożych, udzielił ks. arcybiskup błogosławieństwa obecnym podczas uroczystości inwalidom, po czem podążył do sal tych żołnierzy, którym stan zdrowia nie pozwolił jeszcze opuszczać łóżka. Orowadzany przez troskliwego opiekuna chorych dr. E. Supińskiego, szedł książę Kościoła od jednego łóża do drugiego, mieniał z każdym słów kilka, udzielał im pociechy w strapieniu i błogosławieństwa.

Z kolei pobłogosławił dziatwę z Ochronki i udał się na zaproszenie Przełożonej domu, Generalnej Matki Moniki Rożańskiej, do sali jadalnej, aby podzielić się święconem jajem i złożyć przy niem życzenia gronu reprezentantów wybitnych sfer naszego społeczeństwa.

Nie sami tylko inwalidzi i chorzy zwracali wówczas uwagę zebranego grona gości, lecz także drobna, trzymana na rękach piastunek dziatwa, której pierwszym życia chwilom towarzyszył szcęk oręża, gwar bitew i huk dalekonośnych strzałów. Były to sieroty, rozbitki, rozsiane po terenach zapasów wojennych, odchuchane, odkarmione, przytulone przez litościwych ludzi. Zbierała je po polach bitew siostra ross. „Czerwonego Krzyża“ Wanda Czarkowska, ratowała od głodowej śmierci i oddawała w ręce zakładów, lub prywatnych dobrodziejów. Z jakimże też zajęciem słuchałem wówczas, siedząc przy świątecznym stole, tuż obok Czarkowskiej, opowieści jej o poszukiwaniach za wyrzuconemi z gniazd pisklętami, o doli oddanego na pastwę losu posiewu przyszłych obywateli kraju.

Prym w szeregu kreślonych przez Czarkowską ponurych obrazów, wiódł wypadek z trzy lat niespełna liczącym chłopakiem, przywiązany białą płachtą do ramion matki, uchodzącej

*) *Marya Mazurkówna. Wśród róż i głogów. Wspomnienia z życia śp. Jadwigi z Białynia-Chołodeckich Sewerynowej Kaczkowskiej, Lwów, 1918.*

przy boku męża przed gradem bomb i kartaczy, z rodzinnej swej chaty. Oboje rodzice polegli wśród drogi na polu, a skrwepowane dziecię leżało dni parę bez jada i pomocy na trupie swej rodzicielki, wgrzyzło się, ssąc, ząbkami w jej skostniałą szyję. Cudem prawie znaleziono je 26. listopada 1914. konające z głodu i zimna, ogrzano i odżywiono w lazarecie, poczem zajęła się losem jego Pelagia hr. Skarbek, przyjęła w swój dom i pod swoją opiekę.

Gdy poczęłam kreślić w „Dzienniku polskim“ opowieści na temat ginącego w dalekiem przestworzu kwilenia, błagalnego głosu o ludzką pomoc, o ratunek, wkroczyła cenzura rosyjska, poczęła konfiskować poszczególne ustępy artykułów.

O wiele ostrzej wystąpiła cenzura ta przeciw artykułowi memu, omawiającemu cmentarzysko zmarłych z ran, w czasie inwazyi, jeńców austriackich. Rychło rosły wówczas mogiły na nowem polu poświęconej roli, wytyczonem obok parkanu cmentarza Łyczakowskiego, a ochotna do humanitarnego dzieła mieszczańska młodzież okolicznych domków, synowie kamieniarzy, krupiarzy i właścicieli ogrodów warzywnych, zabrała się do porządkowania mogił i budowy wspólnego pomnika kamiennego. Często spieszyłem wówczas na miejsce ich pracy, odczytywałem krzyże grobowe, zachęcałem młódz do wytrwania w przedsięwzięciu, nie zdołałem atoli, wobec stanowczego kroku cenzury, spełnić zamiaru zainteresowania cmentarzyskiem szerszych kół ludności Lwowa. Mój odnośny artykuł skreślono.

„Gniazdka rodzinne“ jedna z dalszych, licznych instytucyi, stworzonych w epoce przejść i doświadczeń Lwiewo grodu, szczęśliwą ręką prezydenta dr. Rutowskiego, interesowały mnie również żywo wobec swego prawdziwie zbożnego celu. Obok „Ogrzewalni“ utrzymywanej sumptem SS. Opatrzności w gmachu pod wezwaniem św. Teresy, obok „Ciepłego kąca“, obok jedenastu „Ochronek“, przeznaczonych dla ogółu dziatwy lwowskiej, powstało sześć „Gniazdek rodzinnych“, opartych na hojnej ofiarności gminy Lwowa i na darze „Związku rodzicielskiego“, złożonego w ręce prezydenta dr. Rutowskiego. Tam to otaczał opieką, zatrudniał godziwem zajęciem, gościł i karmił, lwowski świat nauczycielski, mnogie setki „Milusińskich“, należących do rodzin lwowskiej inteligencji.

Odwiedzałem z prawdziwem zadowoleniem przybytki „Gniazdek rodzinnych“ w willi inżyniera Ludwika Baldwin Ramułka, w budynkach szkolnych im. św. Zofii i Piramowicza, przy ulicy Czarnieckiego i w gmachu im. Mickiewicza, przy ulicy Franciszkańskiej i św. Stanisława, a doznaniem wrażenia mi dzieliłem się z czytelnikami czasopism.

Nie uszedł też mej uwagi „Zakład głuchoniemych“ przy ulicy Łyczakowskiej. Odwiedziłem po dłuższej niebytności czcigodnego dyrektora Antoniego Mejbauma. Zastałem go smutnego, niedomagającego, w otoczeniu rodziny.

„Zmieniliśmy” — rzekł mi po przywitaniu — „nasze dawne pomieszkание. Oddaliśmy je na cele szpitalne. Miałem zamiar, wysłużwszy długie lata w mym zawodzie, przejść z początkiem roku szkolnego (1914-15) w stan spoczynku. Wir wypadków wojennych pokierował inaczej moimi krokami. Wychowankowie Zakładu nie powrócili już wcale z letnich wyjazdów, grono nauczycielskie wyjechało przeważnie ze Lwowa, pozostała atoli garstka nieszczęśliwych wychowanków-sierót bez rodziny i środków do życia. Ktoś musiał się nimi zająć. Pozostałem więc, wraz z żoną na posterunku, rozpocząłem na nowo czynną służbę, opiekuję się drobną dziatwą, żywię ją i ratuję od katastrofy. Wszak pełnomysłowym trudno wśród obecnych warunków znaleźć środki egzystencji, a coś dopiero można powiedzieć o kalekach, rzuconych na pastwę losu. Uważamy więc oboje z żoną za nasz obowiązek wytrwać, pomimo ubytku sił i zdrowia, na stanowisku, skoro je inni opuścić musieli.”

I wytrwał Mejbbaum na stanowisku i doczekał się powrotu wojsk austriackich, poczem złożył niebawem głowę do snu wiecznego...

Jakiż to piękny, rzewny, godny uwiecznienia w kronikach Lwowa, obraz poświęcenia!...

Odwiędzając „Gniazdko rodzinne” nie pominąłem i „Warsztatów szkolnych”, umieszczonych w budynku im. Mickiewicza, a obejmujących kursa tak dla dziewczątek jak i dla chłopaków. Opisałem je szczegółowo w „Dzienniku polskim^{*)}”, podniosłem zasługi liczego grona zajętych tamże nauczycielek i nauczycieli.

Powziął tymczasem rosyjski poseł D. Czichaczew aktualną wobec wojny myśl, zaznajomienia szerszych warstw rodaków swoich z dziejami Lwowa i wydał w tym celu w rosyjskim przekładzie pracę dr. Aleksandra Czołowskiego p. t.: „Lwów za ruskich czasów”. Dla poinformowania znów naszego społeczeństwa o stanie rzeczy nakreśliłem na ten temat parę fejletonów w „Kurjerze lwowskim” p. t.: „Początki Lwowa” i w „Dzienniku polskim” p. t.: „Pierwotny Lwów” a pierwszy z fejletonów nie omieszkiał powtórzyć „Dziennik kijowski”.

Ostatnią notatką dziennikarską w tej epoce życia, jaką zamknąłem na dłuższy czas cykl mych występów u kaszt zecerskich, była wzmianka z 14. czerwca r. 1915. o zasłużonym asystencie Archiwum miejskiego ś. p. Franciszku Kowaliszynie.

Grzmiały już wówczas w całej pełni dalekonośne działa w pobliżu Lwowa, zwiastowały z dniem każdym postępy armii austriackiej, dążącej do odzyskania utraconych w r. 1914 połaci kraju. Nad Lwowem unosiły się aeroplany, ciskały bomby na poszczególne obiekta i powodowały żwawą palbą karabinów, kulomiotów i armat. Rosyanie wywozili gorączkowo własne mienie, wywozili ruchomości władz i urzędów austriackich,

*) *Dziennik polski* z (4.) 17. lutego 1915.

a także cenne urządzenia prywatnych mieszkań, cenne zbiory i wogóle wszystko, cokolwiek lechtało ich żądzę posiadania. Jakkolwiek wiedzieli z góry, że nie ostoją się pod murami Lwowa, sypali, budowali — jak twierdzono dla materyjalnej korzyści kierujących robotami jednostek — okopy i wały, wyłapywali w tym celu, wyławiali po ulicach i domach miejscową ludność i pędzili na okoliczne pola i łąki. — Nie uchroniły się przed zjawiskiem nadużyć i gwałtu, także i inteligentne warstwy społeczeństwa. Młodzież lwowska, acz gnębiona i dręczona nagonką sałdatów, nie traciła jednak humoru i fantazyi, a maszerując czwórkami pod przymusem bagnietów, nuciła w takt pochodu, krakowiaka o „Bartoszu“. Krzepiła ją snąc nadzieją rychłego ujrzenia zwycięskich szeregów bratnich! Nie przeczuwali w onczas mieszkańcy Galicyi, a specjalnie Lwowa, iż upragniony powrót wojsk austro-węgierskich będzie epoką nieuzasadnionych, a groźnych represyj, epoką pochopnych aresztowań, doraźnych sądów, surowych wyroków, krwawych egzekucyj, maltretowania niewinnych obywateli i zaszczepiania w ich serca goryczy i oburzenia na rząd i tegoż wykonawcze organa.

Dążyłem w tych dniach — a były to dni prześlicznej pogody — o wieczornej porze na wzgórze Powystawowe, przysłuchiwałem się, stojąc w łuku obstrzału aeroplanów, grze armat, przypatrywałem się stadom koni, sprowadzanych z granic Rosyi, wyczekujących dalszego losu na placu Wyścigowym i płynąłem myślą ku dzieciom, których dola była dla mnie osłonięta tajemnicą. Przez cały miniony okres wojny raz tylko doszła mnie wiadomość od syna Witolda, iż przeszedł z placu boju do szpitalu w Badenie, poczem jako rekonwalescent o lasce przebywał w Wiedniu pod opieką żony. O młodszych dzieciach dwie tylko odebrałem w prywatnej drodze relacye, iż pędzą dni w Kopyczyńcach przy matce i dziadkach, pod inwazyą rosyjską.

Wewnętrzny mój niepokój, potęgowała niepewność losu, jaki spotka mieszkańców i miasto w czasie bitew o tegoż posiadanie. Przepowiednie bombardacyi, przepowiednie walk ulicznych, mordów, pożogi, rabunków etc., oto groźny obraz, jaki napełniał obawą i trwogą niejedno serce.

Innych niepokoiło widmo powołania w szeregi armii austriackiej, toż usiłowali, podnieceni artykułami czasopism, zapowiadającymi przymusową ewakuację lwowian, szukać ratunku przez dobrowolny wyjazd w głąb Rosyi. Znów inni drżeli na myśl odpowiedzialności za swoje przekonania polityczne, za usługi, wyświadczone władzom i wojskom rosyjskim, za bliższą znajomość z nieprzyjacielem, lub za nadużycia popełniane z chciwości zysku, za kradzieże, rabunki, za służbę w ochronie, za denuncyacye współziomków. Niewiasty smuciły się niekiedy obawą utraty drogich sercu przyjaciół — Rosyan, a nie brakło i takich czarnych charakterów, które układały z góry plany dzikiej zemsty, porachunku z konkurentami na polu zawodowej pracy, z tymi

wszystkimi, którzy stali im na drodze, byli im niewygodnymi, do których żywili niechęć i nienawiść. Dyszeli oni rządzą anonimowych donosów, za każdą cenę, choćby i za cenę życia niewinnego przeciwnika.

Przypuszczałem, iż będę i ja przedmiotem niecných pocisków, zmyślanych opowieści plotek i intryg, gdyż ich przedsmak dochodził do mej wiadomości, od pierwszej prawie chwili działalności dla dobra trapionego inwazyą miasta. Wszakże nie mogłem wątpić, iż zaliczali mnie do grzeszników: Kunert, dalej nieprzyjęte natychmiast do służby kandydatki, z ich rzeczniczką na czele, niemniej listonosze i urzędnicy kasowi, od których odebrałem pieniądze, należne emerytom wdowom i sierotom, Żydzi, pociągani do odpowiedzialności za nadużycia, tudzież inni tego rodzaju malkontenci. Nastrój ich wcale mnie jednak nie trwożył, tak samo jak i poprzednie zjawiska, zdradzające niechęć ku mnie władz rosyjskich. Nie przczuwałem niestety innego wymierzonego przeciw mnie zamachu.

ROZDZIAŁ IV.

DZIEŃ 19. CZERWCA / R. 1915. — OBLAWA NA ZAKŁADNIKÓW. — POŻEGNANIE Z RODZINĄ. — W MIEŚCIE I NA DWORCU. — LISTA LWOWSKICH ZAKŁADNIKÓW. — WYJAZD DO ROSYI. — POCIĄGI Z ZDOBYCZĄ RABUNKÓW. — UCIEKINIERZY. — W KOZIATYNIE. — NA DWORCU W KIJÓWIE. — WJAZD DO MIASTA.

Ponura cisza zaległa nad Lwowem w dniu 19. czerwca r. 1915.; płoszył ją tylko odgłos strzałów armatnich... Oby przetrwać, przeżyć tę przełomową chwilę, rozważał nie jeden, wyczekiwał z zaszępieniem obliczem, co mu najbliższa przyniesie minuta. Ruch przechodniów zmniejszał się szybko, przygasał. Załatwiwszy sprawę, dążył każdy ku domowi. Zdało mu się, że wśród rodzinnego ogniska zniknie niepokój, że odzyska równowagę umysłu.

Zakręcony wichrem kurz uliczny wzbił się słupem ponad dachy kamienic i spłynął w milionach odprysków na ziemię.

Do tramwajowego wozu weszła Mieczysława Zadora Paszkudzka i szepnęła mi do ucha:

— Zabierają dzisiaj męża, jako zakładnika, jadę do prezydenta Rutowskiego, aby go wyrębał...

Drgnąłem złowrogiem przecuciem...

„Lecz precz przecucie!“ — pomyślałem sobie, usiłowałem odzyskać wewnętrzny spokój...

Zwykłym trybem udałem się na kolację do córki Jadwigi Kaczkowskiej i razem z nią i synem Zdzisławem spędziłem wieczorne godziny — ostatnie na długi przeciąg czasu.

Stosownie do rozkazu policyjnego, normującego ruch uliczny i zamykanie bram, powróciłem następnie przed dziewiątą do pomieszkania.

Ujrawszy się tutaj samotnym, wśród ciszy i zimnych murów, nabierałem coraz bardziej przeczucia, iż nie ominie mnie wywiezienie jako zakładnika. Leżąc bezsennie w łóżku układałem więc plany, kierowałem myśli ku dzieciom moim.

Zrezygnowany wyczekiwałem około północy, czy nie usłyszę kroków patrolu policyjnego, chwytalem przelotne szmery i rozmowy na ulicy. Rzeczywiście zauważyłem niebawem złowrogie głosy. Idą! — pomyślałem i z przerażeniem łowiłem uchem słowa nadchodzących, otwieranie bramy, dyskusję z dozorczynią, pobrzęk pałaszy i zbliżanie się patroli pod drzwi pomieszkania.

Zadudniało nagle w pokojach od silnych pięstuków i gromkich rozkazów: „otworzyć! zaraz otworzyć!”

Zrozumiałem...

Weszła dozorczyńni domu i dwóch *gorodowych*.

„*Wy je Chołodeckij?*” — zapytał starszy z nich rubasznym głosem.

— Chodźcie „*siejczas!*” z nami „*skorej! skorej!*” za godzinę odjeżdża pociąg — wołali gwałtownie w rosyjskim języku usiłując mnie wywlec, formalnie w bieliznie, na ulicę...

— Nie jestem wróblem — odparłem z pozornym spokojem — abym mógł wylecieć z gniazda, muszę się pierwej przyodziać i oddać klucze od mieszkania.

Nadszedł rewirowy.

— „*Wy niczewo złowo nie zdielali, eto czestnoje dieło!*” — zawołał w drzwiach na widok mego płonącego oblicza i pokazał mi *bumagę*, twierdząc, iż w niej zawartym jest rozkaz generał-gubernatora hr. Bobrińskiego, powołujący mnie „na honorowe”, jak się wyraził, stanowisko zakładnika miasta Lwowa.

Po podpisaniu przezemnie *ukazu*, wyszedł rewirowy na dalszy połów ofiar, ja zaś pozostałem na łasce przynaglających mnie do pospiechu żołnierzy.

Okryty pierwszym lepszym, chwyconem do rąk odzieniem, zbudziłem zarządcę kamienicy Józefa Hautza, oddałem mu klucze od mieszkania, a sam bez kuferka, bez torebki nawet, z dwunastu jedynie rublami w kieszeni, wyruszyłem pod eskortą w świat, na niepewne losy.

Pogodna, piękna, była owa noc czerwcową...

Miasto zaumarło. O mury kamienic odbijał się tylko odgłos kroków patroli i sprowadzanych więźniów.

Znalazłem się w *uczastku* (komisaryacie) przy ulicy Leona Sapiehy, gdzie za chwilę nappełniło się biuro kolegami niewoli. Po spisaniu generalistów odstawiono nas do więzienia Sądu powiatowego Sekcyi III. przy ulicy Kaźmierzowskiej i zamknięto do celi Nr. 8.

ПОЛЬСКИЙ АРЕСТНЫЙ ДОМЪ

при Печерскомъ г. Кіева
полицейскомъ участкѣ

МОСКОВСКАЯ 46.

Телефонъ Nr. 51-94.

Pieczęć „Polskiego arestnego domu“ w Kijowie.

Strasznym był, zaprawdę, wygląd tej brudnej, niechlujnej nory. Zczerniała podłoga, zczerniałe sienniki, ściany pełne robactwa, szyby obłożone kurzem i deszczem, ciężkie, zatrute powietrze, w kącie izby cuchnący kubeł, zagrodzony trzema deskami o ćwierćłokc'owych szparach, przymknięty rozsypującemi się drzwiami, a na środku kaźni dziesięć zaledwie kroków wąskiego przejścia pomiędzy rzędami łóżek. Jedyne zamki u drzwi wchodowych w dobrym były stanie, to też skrzypiały bez przerwy klucze, a w progu jawiły się znane i nieznane nam postacie nowych brańców. Nikt nie miał ochoty do rozmowy, każdy zatapiał się w myślach, zamykał sam w sobie.

Około czwartej nad ranem, kazano opuszczać kaźnie i iść „na wolę“. Nie wszyscy zrozumieli co oznacza ten wyraz; zażyła zwodnicza nadzieja odzyskania swobody. Na podwórzu ruch, zamieszanie, gwar i hałas. Jedni szukali swych walizek i tłumoków, ładowanych na wozy, drudzy cisnęli się do czynowników z zapytaniami i prośbami. Zwróciłem się i ja, o pozwolenie udania się z *gorodowym* po pieniądze i rzeczy.

Na ulicy pustka, jak gdyby całe miasto skamieniało, w „Akademickiej“ dopiero napotkałem odrapany żydowski wózek, obraz istnej nędzy i rozpacz. Udałem się do pomieszkania dzieci. Nie trudno zrozumieć, jak bolesnem było pożegnanie. Mój zbrojny opiekun naglił do pospiechu, więc kilka słów dyspozycji, schowanie do kieszeni nieco grosiwa i serdeczne, ponowne uściski na drogę, oto wszystko co mogłem załatwić w ciągu kilku minut. Wstąpiłem do mieszkającej w pobliżu rodziny Mazurków, udzieliłem ich córce Maryi, informacji, dotyczących mych zbiorów, wydawnictw literackich i stowarzyszeń społecznych, w których współdziałała jako prawa moja ręka, poczem skierowałem dorożkę ku Podzamczu.

Na placu Krakowskim wpadłem w sam wir i kłęb cofających się, stłoczonych w ulicy Żółkiewskiej, rosyjskich zastępów. W dwóch szeregach posuwały się zaprzęgi, armaty, jaszczyki, piesze, konne oddziały, balony *captive*, pomieszane z bezładnym tłumem prywatnych wozów i zbudzoną ze snu, wyległą gromadnie ludnością żydowskiej dzielnicy. Turkot kół, pobrzęk łańcuchów,

tentent podków, nawoływanie woźniców, rozmowy pieszego ludu i głosy gryzących się w ciasnocie koni, zagłuszały płynące z dala echo gromkiej kanonady.

Była to chwila dogodna do ucieczki dla młodego, zdrowego, nie oglądającego się na nikogo i na nic, więźnia.

Na dworcu zastałem kolegów sprowadzonych pieszo do pociągu. Stali obok wozów z napisem: „*40 Mann oder 6 Pferde*“, tuż przy nich żołnierze policyjni. W jednym z dalszych wozów siedział na ławce sędziwy mężczyzna z mleczną brodą, obok niego z prawej i lewej *gorodowi*. Nikt z nas nie znał tego więźnia, rozumiał atoli każdy, iż pod ciężkim jedzie zarzutem, skoro tak ścisłej poddano go straży. W przedziałach osobowych siedziało trzech kierowników konwoju, zastępca *gradonaczalnika* Aleksieja Skałłona, dalej kapitan Gartung czy Hartung, Kurlandczyk i praporszczyk Bulobus, profesor gimnazjum kijowskiego, dwaj ostatni, ludzie z ogładą towarzyską.

Wieść o wywozie zakładników rozeszła się szybko po Lwowie, a około dziewiątej rano otoczyli wieńcem wagony nasze krewni i znajomi, wlewali otuchę, zaopatrywali nas w wiktuały na daleką podróż. Radny miejski Bolesław Rogala Lewicki przyniósł wieść, iż dr. Rutowski pojechał do generał-gubernatora z prośbą o odwołanie naszego transportu. Zapowiedź ta spowodowała nowy zawód, nowe przygnębienie, gdyż dr. Rutowski wezwany, pojechał tylko po dyspozycje, dotyczące jego własnego wyjazdu do Kijowa i wyjazdu obu wiceprezydentów dra Leonarda Stahla i dra Filipa Schleichera.

Korzystając z napełniania sąsiednich wozów gratami, pożyczylśmy kilka desek i plecionych krzesel i urządzili w wagonach siedzenia i prycze. Załatwienie naszych wspólnych spraw gospodarczych i kasowych, objął radca Józef Kazimierz Lubieniecki, reprezentację na zewnątrz ks. Stanisław Sopuch i dyrektor Archiwum dr. Aleksander Czołowski, podczas kiedy mnie przypadło w udziale notowanie, naturalnie w pamięci a nie na papierze, szczegółów i spostrzeżeń w celu ewentualnego opisu, doznanych przygód i wrażeń podróży.

O jedenastej przed południem wyruszył pociąg w drogę, a że to była niedziela, towarzyszyło odjazdowi naszemu pożegnalne echo licznych dzwonów kościelnych. Łączyło się ono w wspólną harmonię, z odgłosem dział, turkotem aeroplanów w przestworzu i z hałasem płynących w odwrocie szeregów rosyjskich. W oddali wzbijały się tumany kurzu z pod kół mknących taborów, z Wysokiego Zamku i ze szczytu Kopca Unii Lubelskiej patrzyły ciekawe rzesze na wypadki w mieście i pobliskiej okolicy. Uważały one nas bezwątpienia za dobrowolnych zbiegów, jakiemu mniemaniu dali wyraz robotnicy, powracający właśnie z budowy okopów, obok toru kolejowego:

— „Nie uciekniecie“ — wołali oni — „gdyż austriacy pozyrywali szyny i mosty“.

Była to, swoją drogą, najniebezpieczniejsza dla zakładników chwila, gdyż podnieceni wypadkami mieszkańcy Lwowa, mogli wystąpić wrogo przeciw cofającym się wojskom rosyjskim i ściągnąć na naszą głowę groźne następstwa.

Zwolna posuwał się pociąg ku Krasnemu i Brodom, wioząc 37 brańców a to 12 Polaków, 10 Rusinów i 15 Żydów. Ułożona abecadłowo lista ich opiewała:

Polacy:

Chołodecki-Białynia Józef, Naczelný dyrektor Izby obrachunkowej, literat i publicysta, lat 63.

Czołowski Sas Aleksander, dr. fil., Dyrektor Archiwum i Muzeów miasta Lwowa, lat 51.

Dunikowski Habdank Emil, dr. fil., Prof. Uniwersytetu, lat 57.

Hahn Zygmunt, dr. pr., Sędzia powiatowy, lat 40.

Kauczyński Adam, Kupiec i Dyrektor Zakładu zastawniczego, lat 52.

Kühner Juliusz, Właściciel hotelu, lat 48.

Lewicki Rogala Roman, Radca apelacyjny, lat 46.

Lubieniecki Józef Kazimierz, Radca sądowy, lat 45.

Schirmer Józef, Właściciel piekarni, Prezes Izby rękodzielniczej, lat 55.

Sopuch Stanisław ks., Superior OO. Jezuitów, lat 46.

Töpfer Michał, Właściciel restauracyi, lat 52.

Włodzimirski Walery, Chemik sądowy, Radca cesarski, lat 61.

Rusini:

Baczyński Włodzimierz, Inżynier-chemik, lat 44

Bańkowski Spirydón, Starszy radca Magistratu, lat 56.

Fedak Stefan, dr. pr., Adwokat kraj., Dyrektor banku, lat 54.

Kociuba Michał, dr. med. i fil., Kraj. inspektor szkół, lat 60.

Lewiński Jan, Inżynier-architekt, Prof. Politechniki, lat 64.

Matijów Jan, Radca dworu, Kraj. inspektor szkół, lat 56.

Pańkowski Konstanty, Dyrektor banku, lat 61.

Sosnowski Nałęcz Roman, Radca apelacyjny, lat 55.

Swięcicki Hilary, dr. fil., Dyrektor Muzeum, lat 39.

Szczepaniuk Mikołaj, ks. gr. kat., Kaznodzieja cerkwi metropolitarnej, lat 32.

Żydzi:

Beck Adolf, dr. med., Prorektor Uniwersytetu.

Breitmann Bernard, Kupiec.

Diamand Jakób, dr. pr., Adwokat krajowy.

Feller Szymon, Właściciel realności.

Goldfrucht Salo, Właściciel rafinerii wódek.

Goldmann Artur, Właściciel drukarni.

Goldmann Leon, Właściciel reastauracyi.

Mischl Berl, Kupiec.

Oberländer Maurycy, Aptekarz.

Pordes Samuel, Kupiec.

Reich Jakób, dr. pr., Adwokat krajowy.

Schor Izaak, Kupiec.

Schreiber Jakób, Kupiec.

Sekler Mojżesz, Kupiec.

Zion Oswald, dr. med., Okulista.

Arturowi Goldmanowi towarzyszyła na wygnanie piętnastoletnia jego córka, która razem z nami, zajęła miejsce w towarowym wagonie.

Pierwotna lista desygnowanych zakładników, obejmowała, jak nam to zakomunikował później dr. Rutowski, 250 osób. Z tych skreślił hr. Bobriński 100. Faktycznie zdołano zebrać tylko 38 (jeden umknął z dworca na Podzamczu) gdyż przekupiony czynownik zdradził spis upatrzonych ofiar. W rok później, przy rozprawie karnej w Rosyi, z powodu grabieży kosztowności, obrazów, antyków i mebli, dokonanej przez Skallona, *gradonaczalnika* miasta Lwowa, zeznał głównie obwiniony wspólnik jego, iż Skallon „zarobił“ na zakładnikach 60.000 rubli.

Przez odsunięte, zagrodzone deską, drzwi towarowych wagonów, wyzieraliśmy na świat Boży, na przydrożne łąki i pola. Pokryła je siła przyrody zielenią, pustem, stepowem, było jednak ich oblicze. Nie spotykaliśmy pracujących przy glebie robotników, ni kosarzy po łąkach, ni stad pasącego się bydełka, nie słyszeliśmy fujarki pastuszej, ni śpiewów zajętych przy roli dziewcząt; dźwięczny nawet głos skowronka, zamierał gdzieś w piersiach ptaszynie.

Toczący się leniwo pociąg, zatrzymywał się całemi godzinami po stacyach, ustępował pierwszeństwa innym, dążącym w pilniejszej widocznie misyi, torował sobie przesuwaniem, drogę pomiędzy porozstawianemi po szynach taborami. A nie zwykłym był wygląd tych długich taborów kolejowych, wozów towarowych, platform, pomostów, wypełnionych szczelnie nowemi i starymi meblami, obrazami, dywanami, portyerami, książkami, pościelą, tobołami, odłamami żelaziwa i blachy, deskami, powyrywanemi drzwiami, beczkami, kołyskami, samowarami, garnkami i innem naczyniem, słowem całym składem rupieci i śmiecia. Na bezładnych stosach tych, widniały wystraszone postacie zbiegów, różnego stanu, wieku i wyglądu. Jedni siedzieli zajęci rozmową, lub przegryzali skromny posiłek, inni leżeli bezmyślnie, znów inni porządkowali pochwyte przy ucieczce mienie. Nie brakło siedzących po stopniach i schodkach, w drzwiach i po dachach wozów, nie brakło nawet i desperatów, którzy chwyciwszy się oburącz desek po bokach wagonów pomykali w leżącej pozycji naprzód, daleko w świat, po za oczy otoczenia i dawnych znajomych.

O wysiadaniu z wagonów nie było mowy, nikt nie wiedział, jak długim postój, kiedy w dalszą ruszy pociąg drogę, nikt nie zapowiadał odjazdu. Brak miejsc ustępowych, w towarowych wozach, potęgował nasz ambaras.

Przez całą pierwszą noc czekaliśmy na stacyi w Brodach z powodu wykołajenia się, przed Radziwiłłowem, poprzedzającego pociągu. W dalszej podróży oglądaliśmy olbrzymie składy siana, zboża, mąki, cukru i innych zapasów wojennych, niemniej liczne pociągi pełne ruchomości i zbiegów. Pod Dubnem naliczyliśmy ich 32, każdy z kilkudziesięciu złożony wagonów. W połowie drogi dopiero, odczytano po raz pierwszy listę zakładników i stwierdzono ubytek jednego Żyda. Brakujący numer obsadzono bez namysłu tym sędziwym więźniem, który, jak to wspomnieliśmy, odbywał podróż w pobliskim wagonie pod eskortą straży. Był nim ziemianin Kazimierz Nałęcz Kędzierski, podejrzany przez władze rosyjskie o pokrewieństwo i styczność z Józefem Kędzierskim, obwinionym o szpiegostwo na rzecz Austrii.

W Zdołbunawie doczekaliśmy się nareszcie przesiedlenia z wagonów towarowych, do osobowych. Mnie przypadło miejsce w wagonie III. klasy, poświęciwszy się bowiem pilnowaniu na peronie tobołów naszych, stawilem się ostatni do wsiadania. We wtorek popołudniu dojechalismy do Koziatyna, gdzie w obszernej, elegancko urządzonej restauracyi, otrzymaliśmy po raz pierwszy w ciągu podróży, ciepłe potrawy. Pociąg był znacznie oddalonym od stacyi, to też tam i z powrotem odbyliśmy długą pieszą wędrówkę, wśród łagodnego powiewu stepowego wiatru Ukrainy. Mąciło nam tylko nastrój zjawienie się młodego osobnika, pytającego się natrętnie o szczegóły wydarzeń we Lwowie. Uważaliśmy go nie bez racyi za agenta tajnej ochrony, zwanego w Rosyi „ziszczykiem“. Ostatniem *intermezzo* długiej i uciążliwej jazdy, było pozostawienie na małym przystanku Leona Goldmanna, który nie zdołał wsiąść z powrotem do wagonu. Żołnierz policyjny wyskoczywszy z wozu, przyprowadził później więźnia piechotą do najbliższej stacyi.

W środę 23. czerwca 1915 r., wprowadzeni bocznemi ścieżkami z dworca towarowego, na dworzec osobowy Kijowa, stanęliśmy ostatecznie u celu podróży, otrzepali kurz z sukien i stóp naszych, korzystali z umywalni i golarni i nakreślili na kartkach wiadomości pod adresem naszych rodzin.

Niestety! nadzieja zawiodła, kartki poszły do kosza.

Przybył tymczasem na dworzec policmajster Kijowa S. Gornostajew w towarzystwie pomocnika, odebrał zakładników z rąk konwoju i zarządził podział ich na dwie grupy: chrześcijańską i żydowską, w celu przetransportowania do dwóch oddzielnych domów więziennych. Podział był tak skrupulatny, iż mimo naszych próśb nie pozostawiono w gronie chrześcijan, nawet dr. Becka, lecz odstawiono go do domu Komitetu żydowskiego przy ulicy Kyrilowskiej Nr. 62.

Dwadzieścia przeszło *izwoszczyków* pokaźny tworzyło kowrowód, pędzący ulicami Kijowa. W każdej dorożce siedziało po dwóch więźniów, w ostatnich straże policyjne. Kawalkata zwraca-

całą uwagę przechodniów, którzy mniemali, iż jesteśmy winowajcami wobec państwa rosyjskiego.

Piękny, imponujący dla nowego przybysza wygląd stolicy ziem ukraińnych, był, pod wpływem nastroju duszy, dla mnie obojętnym. Nieczuły na powaby krajobrazów w ciągu całej podróży, pozostałem nieczułym przy wjeździe do nowego, przymusowego miejsca naszego pobytu.

Stały nareszcie dorożki przed zakratowanym „Polskim domem arestnym“, zadzwoniły klucze, zaskrzypiały wrzeczadze, i dwudziestudwu zakładników: Polaków i Rusinów przekroczyło progi więzienia. Przywitała ich dyżurna dama „Kijowskiego komitetu pomocy ofiarom wojny“, przywitał uścisk dłoni zakwaterowanych dzień przedtem kolegów niedoli.

ROZDZIAŁ V.

POLSKI DOM ARESTNY. — LISTA ZAKŁADNIKÓW Z PROWINCY GALICYI. — LISTA ADMINISTRACYJNIE ZESŁANYCH. — KOMITET KIJOWSKI — OPIEKA KOMITETU PAŃ. — TRYB ŻYCIA W WIĘZIENIU. — UDREKA. — ZABIEGI O POZOSTANIE W KIJOWIE. — WYJAZD Z DOMU ARESTNEGO. — LISTA DALSZYCH BRAŃCÓW. — OBJAWY WDZIĘCZNOŚCI DLA KOMITETU.

„Polski dom arestny“ to humanitarna instytucja, stworzona zabiegami „Polskiego komitetu pomocy ofiarom wojny“ (P. K. P. O. W.). Odczuwając niewysłowione udręczenia i męczarnie brańców, umieszczonych w tiuremnych murach, w brudnych, niezdrowych, natłoczonych kaźniach, postanowiło wspomniane towarzystwo doskoczyć im z pomocą, stworzyć dla nich możliwie znośny przybytek więzienny. W tym celu wyszukano i adaptowano odpowiednią realność w zdrowej dzielnicy miasta przy ulicy Moskiewskiej l. 46, willę, własność em. generała Schmidta, złożoną z głównego, parterowego domu o dużym salonie i kilkunastu bocznych ubikacjach, dalej z oficyny i budynków gospodarczych. Do willi przypierał mały, spacerowy ogród z okazami egzotycznej flory, kłębami róż i widokiem na obszerny plac, na sterczące w dali wyniosłe maszty iskrowego telegrafu i kąpiące się w zieleni drzew kopuły Peczerskiej Ławry. Przeciwną stronę zamykał park, druga połowa realności Schmidta; wstęp do tego parku, był atoli dla nas zamkniętym.

Kierownictwo zakładu więziennego objął prezes sekcji Komitetu, adwokat Feliks Krzyżanowski, przyjął do załatwiania biurowych spraw dwóch młodych urzędników Kazimierza Bacho i Ryszarda Gołębiowskiego, dyrektor policyi zaś przeznaczył w celu nadzoru, rewirowego Mikołaja Iłina, i trzech żołnierzy policyjnych. Przy zamkniętych drzwiach wchodowych czuwał „szwajcar“.

Otwarcie „Domu arestnego“ nastąpiło w dniu 21. czerwca 1915 r., poczem zaczęły napełniać się lokale przymusowymi przybyszami z Galicji.

W ślad za zakładnikami Lwowa, odstawiono do Kijowa wszystkich trzech prezydentów miasta, a wypadek ten, zwłaszcza przyjazd wysoko cenionego dra Rutowskiego obudził w nas otuchę. Nadzieja nie zawiodła. Już 26. czerwca 1915 r. odwiedził dr. Rutowski nasze więzienie, zbadał położenie, uściłł znaczniejszy datkę na rzecz Komitetu z funduszy przesłanych mu do dyspozycji, przez „Generalny Komitet w Vevey“ i nawiązał pertraktacye z wywiezionym ze Lwowa „Bankiem przemysłowym“ w celu zabezpieczenia nam środków egzystencji na przeciąg całego roku.

W dniu 14. lipca 1915 r., wypłacono nam pierwszą ratę zasiłku normowanego po 120 rubli miesięcznie, niemniej jednorazową kwotę 150 rubli na sprawienie bielizny i odzienia, jakich brak wywoływał wielki u niektórych ambaras.

Rychło napełniał się tymczasem budynek więzienny nowymi ofiarami wojny, tak z sfer inteligencji jak i z ludu. Inteligencyę umieszczano w pokojach głównego gmachu, starszych wiekiem wieśniaków i robotników w oficynach, młodych zaś w rozległej szopie, wyścielonej słomą.

Imienna lista Kolegów naszych i administracyjnie wywiezionych, którzy przebywali równocześnie z nami w „Polskim domu arestnym“, przedstawia się następująco:

Zakładnicy:

Z Złoczowa:

Gluziński Eugeniusz, Starszy inżynier, geometra, lat 63.

Gürtler Alojzy, Zastępca prokuratora, lat 42.

Hermann Jan, Oficyał magistratu, lat 46.

Kwiatkowski Stanisław, Ks. rz. kat. wikary i katecheta lat 34.

Myśków Zygmunt, Dr. praw, Radca sądowy, lat 55.

Postrzychacz Michał, Ks. gr. kat., kooperator, lat 29.

Schubert Franciszek, Kupiec, lat 59.

Zyborski Jacek, Wiceprezydent sądu, lat 56.

Z Zborowa i okolicy:

Birecki Jan, Woźny sądowy, lat 53.

Chamczuk Grzegorz, Ks. gr. kat. katecheta, lat 29.

Diakon Grzegorz, Ks. gr. kat., proboszcz i dziekan, lat 50.

Drozdowski Szczepan, Subjekt handlowy, lat 27.

Duszeńczuk Bazyli, Dr. praw, Kandydat adwokacki, lat 40.

Galewicz Roman, Oficyał podatkowy, lat 39.

Gałaczyński Karol, Właściciel realności i kupiec, lat 58.

Gwóźdź Tomasz, Ks. rzym. kat. katecheta, lat 31.

Krupski Władysław, Sędzia powiatowy, lat 46.

Mielnik Dymitr.

Neuberd Józef, lat 43.

Rogowski Daniel, Dyrektor Tow. Zaliczkowego, lat 48.

Woroszyński Władysław, Maturzysta lat 22.

Z Pomorzan:

Arct Franciszek, Ks. rzym. kat., proboszcz, lat 53.

Brenner-Flammenberg Konstanty, Rządca dóbr, lat 54.

Zauderer Antoni, Aptekarz i pocztmistrz, lat 58.

Z Olejowa:

Borzemski Jelita Romuald, Pocztmistrz i naczelnik gminy, lat 76.

Gruszecki Kajetan, Ks. rzym. kat., proboszcz, lat 34.

Sosenko Antoni, Ks. gr. kat., proboszcz, lat 53.

Wodzicki Aleksander hr., Właściciel dóbr, lat 55.

Z Przemyślan i powiatu:

Maksymowicz Semen, Oficyał sądowy, lat 42.

Tereszczuk Bazyli, Ks. gr. kat., proboszcz, lat 38.

Tyczyński Władysław, Oficyant sądowy, lat 32.

Wojtowicz Jan, Właściciel pracowni stolarskiej, lat 38.

Zdrzałka Michał, Sekretarz gminy, lat 31.

Z Monasterzysk:

Ćmikiwicz Jan, Oficyant sądowy, lat 30.

Ćmikiwicz Michał, Oficyant sądowy, lat 23.

Grzegorzczak Adam, Starszy pocztmistrz, lat 54.

Kurek Zbigniew, Sędzia, lat 33.

Pawłowski Marcei, Dyrektor Kasy pożyczkowej chrześcijan, lat 62.

Z Kamionki Strumiłowej i powiatu:

Bator Wojciech, Właściciel realności, lat 53.

Cegielski Michał, Ks. gr. kat., proboszcz i dziekan, lat 67.

Czyrek Jan, Ks. rzym. kat., proboszcz, lat 43.

Scheiner Jan, Tapicer, lat 32.

Widacki Ślepowron Tadeusz, Ks. rzym. kat., Dr. teologii, administrator, lat 42.

Więckowski Piotr, Naczelnik gminy, lat 56.

Zinkiewicz Michał, Ks. gr. kat., proboszcz, lat 32.

W drodze administracyjnej wysłani brańcy:

Bereza Adam, Rządca dóbr, lat 46, wypuszczony na wolność.

Beszkiwicz Aleksander, Kierownik szkoły, lat 27, wysłany do Turgajskiego obwodu.

Bieszczad Paweł z Krosna, lat 59, wysłany do Turgajskiego obwodu.

Bilek Franciszek, Leśniczy, lat 60, wypuszczony na wolność.

- Bogacki Józef*, Kierownik szkoły z Korczyna, lat 64, wysłany do Turgajskiego obwodu.
- Budyń Stanisław*, Inżynier kolejowy z Przemyśla, lat 39, wysłany do Permy.
- Czubaty Teodor*, Ks. gr. kat., wikary, lat 29, wysłany do Krasnojarska,
- Dębicki Alfred*, Urzędnik policyi, wypuszczony na wolność.
- Dębicki Michał*, Kuchmistrz i ziemianin, lat 51, wysłany do Permy.
- Domański Kazimierz*, Budowniczy z Jarosławia, lat 52, wypuszczony na wolność.
- Fajrych Włodzimierz*, Urzędnik Magistratu z Stanisławowa, lat 40, wysłany do Permy.
- Galiński Julian*, Urzędnik kolejowy z Buczacza, lat 38, wysłany do Permy.
- Gawłkowski Stanisław*, Dr. medycyny, Lekarz powiatowy z Złoczowa, lat 52, wypuszczony na wolność.
- Głowiński Mieczysław*, Właściciel fabryki mech. w Tarnopolu, lat 42, wypuszczony na wolność.
- Gniewosz z Oleksowa Aleksander*, Właściciel dóbr i szambelan z Potoka złotego, lat 44, wysłany do Kazania.
- Hasko Karol*, Lustrator lasów z Łopianki, lat 43, wysłany do Jenisiejska.
- Hotra Jan*, Gr. kat. kleryk z Krasnej puszczy, lat 26, wypuszczony na wolność.
- Hrebeniuk Mikołaj*, Prywatny leśniczy, lat 32, wysłany do Jenisiejska.
- Kaliński Wincenty*, Akademik, lat 25, wysłany do Turgajskiego obwodu.
- Kamiński Jan*, Urzędnik banku, lat 30, wypuszczony na wolność.
- Kopystyński Kazimierz*, Uczeń szkół średnich, lat 18, wysłany do Permy.
- Kostrakiewicz Mikołaj*, Oficyna pocztowy z Zaleszczyk, lat 37, wysłany do Kazania.
- Kowalski Paweł*, Profesor gimnazjalny z Buczacza, lat 39, wypuszczony na wolność.
- Kranz Ludwik*, Dzierżawca dóbr, lat 32, wypuszczony na wolność.
- Krateil Jan*, Kierownik kopalni nafty, lat 38, wysłany do Turgajskiego obwodu.
- Kretz Juliusz*, Urzędnik banku, lat 23, wysłany do Jenisiejska.
- Kubis Juliusz*, Uczeń szkół średnich, lat 18, wypuszczony na wolność.
- Kurcz Kazimierz*, Rzym. kat. wikary w Dubiecku, lat 27, wysłany do Saratowa.
- Kwit Bazyle*, Gr. kat. kleryk, lat 21, wypuszczony na wolność.
- Lazarus Norbert*, Prokurator państwa w Czerniowcach, lat 44, wysłany do Piotrogradu.
- Launhardt Franciszek*, Ew. proboszcz i pocztmistrz w Unterwalden, lat 52, wysłany do Saratowa.

- Lewicki Maryan*, Kierownik szkoły w Stryju, lat 60, wysłany do Permy.
- Luty Szymon*, Urzędnik bankowy, lat 25, wypuszczony na wolność.
- Łaba Bronisław*, lat 37, wypuszczony na wolność.
- Łopuszański Aleksander*, nauczyciel, lat 51, wypuszczony na wolność.
- Łysakowski Ludwik*, Dzierżawca z Czyplie, lat 60, wypuszczony na wolność.
- Mazur Michał*, Rolnik, lat 26, wysłany do Permy.
- Milke Alfons*, Farmaceuta, lat 37, wysłany do Ufy.
- Młodzianowski Konstanty*, Ziemianin, lat 54, wypuszczony na wolność.
- Niemiec Franciszek*, Nauczyciel ze Lwowa, lat 26, wypuszczony na wolność.
- Pasławski Jan*, Gr. kat. kleryk z Krasnej puszczy, lat 29, wypuszczony na wolność.
- Petrowski Edward*, Uczeń gimnazjalny, lat 22, wypuszczony na wolność.
- Piasecki Stanisław*, Rządca dóbr, lat 42, wysłany do Permy.
- Podwiński Maryan*, Sędzia z Czortkowa, lat 33, wysłany do Turgajskiego obwodu.
- Potocki Artur hr.*, Właściciel dóbr z Buczacza, lat 21, wypuszczony na wolność.
- Prontka Adam* z Dobromila, lat 19, wysłany do Turgajskiego obwodu.
- Pyć Michał*, Przemysłowiec z Stryja, lat 29, wypuszczony na wolność.
- Pyć Władysław*, Handlowiec z Stryja, lat 26, wysłany do Permy.
- Reichardt-Reichardtsberg Franciszek*, Inżynier geometra z Łańcuta, lat 49, wysłany do Permy.
- Roubinek Otton*, Kupiec z Brzeżan, lat 38, wypuszczony na wolność.
- Rzepecki Michał*, Sędzia powiatowy w Lubaczowie, lat 38, wysłany do Permy.
- Schneider Ludwik*, Dr. filozofii, profesor gimnazjalny ze Lwowa, lat 40, wysłany do Jenisiejska.
- Schneider Piotr*, Organista z Szebień, lat 42, wysłany do Turgajskiego obwodu.
- Stupek Grzegorz*, Krawiec z Sądowej Wiszni, lat 51, wysłany do Permy.
- Stawarz Władysław*, Uczeń gimnazjalny, lat 19, wysłany do Permy.
- Stelmach Maciej*, Właściciel posiadłości w Mostach Wielkich, lat 54, skazany, po licznych przejściach, na osiedlenie w Jakucku.
- Stilger Władysław*, Prywatny leśniczy, lat 50, wysłany do Permy.
- Stromenger Jan*, Kapitałista ze Lwowa, lat 63, wysłany do Jenisiejska.

Strzyżowski Adam, Słuchacz praw, lat 39, wysłany do Permy.
Swestka Józef, Urzędnik banku, lat 26, wypuszczony na wolność.
Szemaszko Feliks, Kasyer z Szemień, lat 45, wysłany do Tur-
 gajskiego obwodu.

Then Karol, Kupiec z Przemyśla, lat 38, wysłany do Permy.
Tranda Zdzisław, Redaktor ze Lwowa, lat 35, wysłany do Je-
 nisiejska.

Uchmann Henryk, Rym. kat. proboszcz z Kolonii ad Sieniawa,
 wypuszczony na wolność.

Wisłocki Stanisław, Pócztmistrz, lat 72, wypuszczony na wolność.
Wizimirski Edward, Inżynier z Jarosławia, lat 26, wypuszczony
 na wolność.

Wojakowski Jastrzębiec Józef, Naczelnik kolejowy z Przemyśla,
 lat 44, wysłany do Permy.

Wołczański Józef, Rzym. kat. kooperator z Bóbrki, lat 32, wy-
 puszczone na wolność.

Wysocki Strzemię Zdzisław, Pełnomocnik dóbr z Jaworowa, wy-
 puszczone na wolność.

Wysogład Jan, Słuchacz praw, lat 24, wypuszczony na wolność.

Wysogład Robert, Uczeń gimnazjalny, lat 21, wypuszczony na
 wolność.

Ponadto przebywała razem z nami w domu więziennym
 przez krótki czas *Julia Brennerowa-Flammenberg*, z domu Ciesz-
 kowska, która wraz z synem *Janem* i córką *Zofią*, towarzy-
 szyła dobrowolnie mężowi na wygnanie.

Wśród robotników i wieśniaków, obudzali ogólne współ-
 czucie: jakiś matolek, siedzący cały dzień bezmyślnie na ławce,
 obłąkana dziewczyna z Buska, nabawiona przez sądatów choroby,
 obłąkany Paweł Guziur z Woli domosławickiej, mieniący się je-
 nerałem tureckim, chorowity Wojciech Zabawa z Rzepiennika
 marciszewskiego obok Gorlic, który zakończył swój męczeński
 żywot w dniu 29. czerwca 1915 r., i ośmdziesięciokilkolletni
 starzec Ludwik Bałka z Rzędzina. Ten ostatni złożony niemocą,
 pozbawiony opieki, wymagającej karmienia i utrzymywania czy-
 stości obok bezwładnego starca, popełnił ostatecznie w przy-
 stępie rozpaczy samobójstwo.

Naczelnikiem Polskiego domu arestnego był, jak wspo-
 mnieliśmy adwokat Feliks Krzyżanowski. Na czele komitetu dam,
 opiekujących się nami, stała Adela z Długoszewskich Szymo-
 nowa Suska, pełna poświęcenia, niestrudzona rodaczka, zawsze
 uprzejma, chętna do rady, gotowa do pomocy. Niedosć, że spę-
 dzała dnie całe wśród pracy dla więźniów, ale ponadto otwie-
 rała dla nas podwoje gościnnego domu swego. Obok Suskiej
 pracowały jako stałe opiekunki nasze w dziale dyżurów Helena
 Jakubowska, Nina z Wyżykowskich Junosza Galecka, Irena No-
 wina Młoszewska, Felicja Dąbrowska, Lidya Müllerowa, Marya
 Brzozowska, później zaś Marya Radziwińska. Szatnią zajmo-
 wały się: Marya 1^o v. Korntopf 2^o v. Krzyżanowska, Julia Ga-

wińska i Anna Kondracka. Płatną gospodynią w zakładzie była Michalina Hreczecha.

Niezawisłe od wymienionych, jawiły się sporadycznie i inne przedstawicielki Polek Kijowa, nosiły nam słowa pociechy, rozpraszały pogawędką szare nasze, ponure myśli.



W Polskim domu aresnym w Kijowie.

Siedzą: J. Matijów, W. Włodzimirski, J. B. Chołodecki, A. Suska, N. Gałęcka, J. Schirmer, Ks. S. Sopuch, M. Töpfer, J. Lewiński, *(u dołu)* J. K. Lubieniecki.

Stoją: K. Pańkowski, W. Baczyński, S. Bańkowski, M. Kociuba, K. Kędziński, R. Lewicki, R. Sosnowski, J. Kühner, A. Kauczyński, A. Czołowski, Z. Hahn, E. H. Dunikowski, Ks. M. Szczepaniuk, S. Fedak, H. Święcicki, J. Diamand *(gość)*.

(Fotogr. Wacław Krzyżanowski.)

Do grona tych dam, należały między innemi: Karolina Dynowska, Stanisława Męczyńska, Stefania Długoszewska, Marya Huszczo-Ogończyk-Sieczkowska i Wanda z Czachórkich Józefowa Newlin Mazaraki. Ta ostatnia poświęcała przez dłuższy czas siły swoje jako samarytanka, opiekunka rannych oficerów austriackich, a jak szlachetnie spełniała swą misję, stwierdzały liczne listy i kartki, wysyłane później z objawami wdzięczności i szacunku, przez rekonwalescentów i inwalidów, wywiezionych w dalekie strony Azji. Ten objaw uznania nastąpił mnie sposobność do nakreślenia dla albumu Mazarkowej, następujących kilku słów wiązanych:

Lek Twoją rączką podany,
Podwójne koi katusze,
Zabliźnia na ciele rany,
I krzepi zbolące dusze.

Twą rączką kieruje serce,
 Tkliwe na ludzkie cierpienia,
 Toż kiedy dusza w rozterce,
 Lek Twój się w balsam przemienia.

Mą duszę tęsknota rani,
 A serce w smutku wciąż tonie,
 Więc pozwól, przeznacza pani,
 Bym stanął w pacjentów gronie....

Wobec wielkiego natłoku brańców, brak było w „Domu arestnym“ wygód, niezbędnych zwłaszcza dla ludzi starszych wiekiem, przyzwyczajonych do innych warunków egzystencji. Dość powiedzieć, że w głównej sali, w której przypadło miejsce i mnie — pomiędzy łózkami Lewickiego, a Schirmera — dochodziła liczba śpiących do 58 głów. Jedni korzystali z ustawionych gęsto pod ścianą, żelaznych łóżek, nowych i starych, dobrych i połamanych, ze słomianymi siennikami, siennymi poduszczykami i kocykami do nakrycia, drudzy leżeli pokotem na ziemi w dwóch rzędach przez środek pokoju.

Wobec natłoku śpiących, panowała w pokojach zaducha, pomimo iż dniem i nocą były okna na ścieżaj pootwierane. Z wieczora uniemożliwiały spanie rozmowy, żarty, śpiewy, ruch, harmider czuwających kolegów, tropikalne nieraz gorąco, dalej przepisane regulaminem więziennym światło u stropu sali, płynący z ulicy turkot, odgłos dzwonków tramwajowych, przemarsze pieszych i konnych oddziałów. Około północy płoszyły znów sen z oczu, nieartykułowane głosy śpiących twardo kolegów, pomruk, sapanie, stękanie, chrapanie, komenda i krzyki, rozmowy przez sen, wstawanie, łożenie po pokojach, skrzypienie drzwi i łóżek, palenie papierosów. Z brzaskiem poranku budził w końcu niewyspanych, śpiewny, melodyjny wprowadzie, lecz w tych warunkach niepożądany wcale koncert dzwonów Peczerskiej Ławry, a za nim wznowiony ruch na ulicy, łącznie z rojem much, wabionych w te strony obecnością kilku tysięcy koni, jakie wyczekiwały na przeciwnym placu wymarszu na pole bitew.

Wobec braku urządzeń, zdolnych zaspokoić potrzeby tak liczego zastępu osób, rozpoczynał się ruch w pokojach już o godzinie piątej rano. Inaugurował go zwykle Schirmer, po czem ustępował mnie miejsce w umywalni. Około siódmej przedstawiały pokoje niezwykle obraz zajęć osób „na stanowiskach“. Jeden szurował miednicę, drugi mozolił się ścieleniem łóżka, inny naprawiał bieliznę, znów inny skrobał błoto z butów, a każdy bez humoru, skrzywiony, zły i rozdrażniony. Ubrani dążyli na ogród, gdzie po zwykłym: „dzień dobry, jak się panu spało?“ rozpoczynała się pogawędka i promenada po rosie, wśród śpiewu ptasząt i woni róż, nawiedzanych codziennie o tej porze przez zgłodniałe wróbelki, łaknące mszyc i innych drobnych owadów.

Rozgrzewał się tymczasem, szumiał, kipiał na podwórze samowar, wyrzucał z wysokiego komina kłęby czarnego dymu. Olbrzym ten, obliczony na stokilkadzieсят szklanek wody, wędrował następnie do kredensu, zkąd o godzinie ósmej rano wynoszono śniadanie, złożone z herbaty, mleka i dużych t. zw. francuskich bułek, każda wagi przeszło 200 gramów. Po śniadaniu odchodziła część kolegów, na podstawie zdobytych specjalną protekcją lub „łapówkami“ przepustek, do miasta, reszta zaś zagłębiała się w łamy dzienników, zasiadała do gry w karty lub szachy, sporządzone na prędkę kozikiem przez jednego z współwięźniów. Koledzy Lubieniecki i dr. Fedak, sportowcy, uprawiali w ogrodzie gimnastykę i zapasy, inna zaś grupa, do której i ja należałem, improwizowała słoneczne kąpiele.

Około dwunastej w południe jawiły się nasze opiekunki i obejmowały ster gospodarstwa. Około pierwszej wydawano obiad, nasamprzód robotnikom i wieśniakom, następnie nam. Zasiadaliśmy do stołów podzieleni na dwie grupy z półgodzienną zmianą. Dania obejmowały dwie potrawy, niekiedy z dodatkiem trzeciej „*pour la bonne bouche*“. Wikt był niewybredny, lecz zdrowy i na świeżym tłuszczu, kto więc „nie żyje dla tego, aby jadt“, mógł być zupełnie zadowolonym. Przez parę tygodni przyrządzał nam obiady kuchmistrz domu Gorajskich, współwięzień Michał Dąbski.

Po obiedzie drzemka, wycieczka do miasta, gra w szachy, lub karty, obserwowanie z po za parkanu ruchu na ulicy i na przeciwległym placu. Po kolacyi, złożonej z jednej mącznej potrawy, następowała wieczorna rozrywka, w postaci produkcji na mandolinie, choralnych śpiewów i pouczających wykładów. Szereg ich rozpoczął dr. Święcicki w dniu 27. czerwca 1915 r. poczem zabierał wytrwale przez 10 wieczorów głos dr. Duniowski opowieściami na temat swych licznych podróży i badań geologicznych. Ostatnim punktem programu upalnego dnia było wypróżnianie kilku kosztów butelek, napełnionych *istinno russkimi* bezalkoholowymi płynami, jak kwasem chlebnym, kluwką czyli żórawiną, cytrem, fiałką lub kaukaskimi szczawami: narzanem i essentuki.

Jeżeli położenie nasze pod względem materialnych potrzeb, streszczało się, dzięki komitetowi, tylko w przykrej niewygodzie, wśród ciasnych murów i prymitywnego urządzenia mieszkalnego przybytku, to o wiele gorzej przedstawiało się ono pod względem duchowym. Wyrwani przemocą z ognisk domowych, wywiezieni gwałtem w obce strony, skazani tutaj na niewolę, na bezczynność, przechodziliśmy całą skalę dalszych udręczeń. Były niemi: tęsknota, brak wiadomości o rodzinach i przyjaciółach, pozostawionych na terenie krwawych walk, cierpiących, ginących może od kul, lub z niedostatku, niemożliwość porozumienia się listownego w pięknych nieraz kwestyach, troski o zagrożone mienie i sadyby nasze, niepewność

własnych losów, własnego „jutra“, niepewność materialnej egzystencji, zmora wisząca nad niewinnymi a bezbronnymi, w postaci osławionej żandarmeryi, ochrony, deportacji w drodze administracyjnej w głąb Syberyi, widok mnogich rzesz jeńców i wygnańców, skazanych na niedolę i zatrąę, myśl o dzieśiątkach, setkach tysięcy trupów i kalek, zmyślane artykuły dziennikarskie, alarmujące wieści o wypadkach w kraju, o zniszczeniu Lwowa i innych miast Galicyi, o głodzie i epidemiach, o represyach wywieranych przez Austryę na całych szeregach ludności....

A po nad tem wszystkiem unosiły się czarne, ołowiane chmury światowej wichury, zakrywały wokół horyzont, bez blasku jutrzenki, bez promyka nadziei zmiany sytuacji.

Łudziliśmy się wszyscy, łudziłem się i ja możliwością rychłej generalnej wymiany, możliwością powrotu do domu, na skutek dyplomatycznych pertraktacji, wywołanych zabiegami naszych rodzin.

Nerwy moje grały, hulały, wprowadziły mnie w stan psychicznego rozstroju.

Korzystnym warunkom higienicznym, niemniej umiejętnej i troskliwej opiece ze strony komitetu dam, przypisać należy, iż w „Domu arestnym“ nie wybuchła, w czasie naszego pobytu, żadna epidemiczna lub gorączkowa słabość, a lekarz zakładowy chorób wewnętrznych, lwowianin dr. Karol Hornung, jeniec z twierdzy Przemyśla, nie był wcale przez nas inkomodowanym.

Nie obeszło się natomiast bez innych słabości i chorób. Nawiedziły one ks. Sosenkę, ks. Uchmanna, szambelana Gniewosza, Gürtlera, R. Wysogłada i ks. Kurcza, który już w stanie silnego zgnębienia i ogólnej apatii przybył do naszego zakładu więziennego. Opiekował się nim specjalnie kolega ks. Gwóźdź, podczas gdy Gniewosza, Gürtlera i Wysogłada, odwieziono do zakładów szpitalnych, względnie prywatnych leczniczych domów.

Swobodę ruchów i możność kultywowania pracy zawodowej uzyskali najrychlej rz. kat. duchowni, którym pozwolono odprawiać nabożeństwa i udawać się w tym celu do rz. kat. świątyń. Przodował w tym kierunku O. Superior ks. Sopuch, który już 27. czerwca 1915 stanął u stopni ołtarza, wysłuchał w cztery dni później spowiedzi kilkudziesięciu współwięźniów i pokrzepił w murach więziennych św. komuniją.

Należałem specjalnie do tych nielicznych więźniów „Domu arestnego“, którzy sporadycznie tylko wychodzili poza jego mury. Odwiedziwszy w dniu 27. czerwca r. 1915. prezydenta dra Rutowskiego, w dniu 4. lipca zaś Szymonostwa Suskich, siedziałem stale w domu, raczej w parku więziennym, ku zdziwieniu rewirowego i prezesa Krzyżanowskiego. Czas mój poświęcałem chorym towarzyszom niedoli, a zabiegi czynione niekiedy w ich sprawach, wobec komitetu, znalazły wyraz uznania w nadaniu mi tytułu „opiekuna“. Przybywający nowo do zakładu więźniowie, kierowali częstokroć ku mnie pierwsze swoje kroki z pro-

śbą o informację, radę, pomoc i pośrednictwo. Miałem wewnętrzne zadowolenie i ulgę w strapieniu.

Pragnąc zapobiedz dalszej wysyłce naszej w głąb Rosyi, lub nawet na Sybir, zwróciliśmy się do „Polskiego Komitetu pomocy ofiarom wojny“, poczem prezes Krzyżanowski zaprosił w tym celu do „Domu arestnego“ ankietaę adwokatów. — Zjawił się był tymczasem i obiecał nam swoją pomoc, niejaki Katzenellenbogen, syn adwokata ze Stanisławowa, naturalizowany w Stanach Zjednoczonych, rzekomo naczelnik misyi Amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Niebawem doznaliśmy smutnego rozczarowania. Popadł on w konflikt z władzami rosyjskimi, a wydobyszy się z matni został później aresztowanym na terytorjum Austrii.

Innym delegatem, który obudził w nas niespełnione nadzieje, był N. L. Piotrowski z Chicago, korespondent pism amerykańskich.

Z drugiej strony wstrząsały nerwami naszymi afery, jakie spotykały bliższych i dalszych znajomych, np. uwięzienie dyrektora banku dra Józefa Milewskiego, następnie uwięzienie naszego towarzysza Kędzierskiego i tegoż żony, która przyjechała w ślad męża do Kijowa. Stawali oboje przed sądem wojennym i uzyskali po licznych utrapieniach wyrok uwalniający. Zakładnika Sosnowskiego pociągano znów do odpowiedzialności na skutek przygodnej rozmowy z jednym z niemiłych władzom rosyjskim Galicyan.

Silniejsze wzruszenie i zamęt wśród nas wywoływała powtarzająca się co parę dni, wysyłka więźniów w głąb Rosyi. Panem życia i śmierci brańców był urzędnik policyjny Ordowski, który załatwiał poszczególne akta, wybierał miejsca wysyłki, układał listy współtowarzyszów dalekiej podróży, a wśród korzystnej dla niego konstelacyi (w formie odpowiednich datków), chował wyjęte akta na nowo pod spód do szuflady, zapominał o nich. W ręce Ordowskiego składali też fundusze ci wszyscy, którzy posiadając zasoby materyalne pragnęli jechać *in continuo* uniknąć długiej mitregi, po brudnych, ponurych, wilgotnych, pełnych miazmatów, etapach, uniknąć kucia w kajdany, uniknąć towarzystwa pospolitych zbrodniarzy, kaziennego wikt i brutalności „karautów“. Składane na podróż sumy dosięgały częstokroć tysiąca, albo i więcej rubli, stosownie do odległości kresu podróży i liczby skazańców.

Odjeżdżających zaopatrywał komitet w razie potrzeby w bieliznę, odzienie, zapas cukru, herbaty, a niekiedy i w gotówkę, poczem następował wymarsz do „Peresylniej tiurny“, czyli biura transportowego, kaźni prawdziwych udęczeń i katuszy.

Z jakimże upragnieniem wyczekiwali wobec tego zakładnicy spełnienia obietnicy generał-gubernatora hr. Bobrińskiego, zakomunikowanej im przez dr. Rutowskiego jeszcze w dniu 8. lipca r. 1915., iż otrzymają pozwolenie przesiedlenia się do prywatnych pomieszczeń w mieście, iż otrzymają tem samem pewną

swobodę. Załatwienie sprawy wlokło się atoli zółtym krokiem wobec warunku, iż każdy wypuszczony na wolność zakładnik musi dostarczyć poprzednio ręczyciela, gwarantującego grzywną 3000 rubli, lub trzymiesięcznem więzieniem, za swego pupila.

Pierwszy opuścił mury więzienia ks. Sopuch w dniu 7. sierpnia r. 1915, ja ujrzałem się na wolności dopiero 18. sierpnia, za poręką inżyniera Tadeusza Nowiny Młoszewskiego. Legitymacja, wydana mi dzień przedtem z Dyrekcyi policyi opiewała naturalnie równobrzmiąco z legitymacjami innych zakładników: „*M. W. D. Kiewskij Policmeyster. Stoł sekretny. Augusta 4. dnia 1915. Nr. 13.961 G. Kiew. — Udostowienie. Dano sie awstryjskomu poddanomu, założnyku Josufu Celestynowyczu Chołodeckomu, w tom, czto jemu rozriszajetsia prożywat' w gor. Kiewi, wpred do osobago rozporiażenia, s tym, czto on eżednewno k 11 czasam utra jawłał sia w Gorodzkoju Policiju. Za Policymeistra: Woronczuk, Za Stołonaczalnyka: Ordowski.* (L. S.)

W dniu 24. sierpnia wyjechał ostatni lwowski zakładnik Kühner z „Domu arestnego“ do prywatnego pomieszkania, a w więzieniu pozostało tylko nasze zdjęcie fotograficzne, uskutecznione w dniu 12. lipca r. 1915. przez Wacława Krzyżanowskiego.

Opróżnione miejsca zajęły rychło inne ofiary wojny, różnego wieku, różnego zawodu i różnych stanowisk społecznych. Należeli do nich między innymi:

Albrycht Jan, Urzędnik pocztowy z Podwołoczysk, lat 33, wysłany do Irkucka.

Baczyńska Mirosława, Żona gr. kat. księdza z Chmielówki, lat 24, wysłana do Irkucka.

Bieglmeyer Alfred, Dr. med. dyrektor szpitala z Sambora, lat 66, wypuszczony na wolność.

Braun Alfred, Dr. med. lekarz z Sambora, lat 43, wypuszczony na wolność.

Czerniejewski Roman, Ziemianin z Jabłonowa, lat 21, wysłany do Kazania.

Czudźak Karol, Kupiec ze Lwowa, lat 43, wypuszczony na wolność.

Dzieduszycki-Choiński Jan, Ziemianin z Jabłonowa, lat 25, wysłany do Kazania.

Hoffmann Michał, Urzędnik sądowy z Skałatu, lat 51, uwolniony na skutek rewolucyi.

Honorski Władysław, Rzym. kat. proboszcz z Bełza, lat 39, wypuszczony na wolność.

Kański Leon, Kontrolor pocztowy z Tarnopola, lat 45, wysłany do Irkucka.

Karnasiewicz Władysław, Dr. med. z Krakowa, lat 25, wysłany do Tobolska.

Kida Józef, Burmistrz z Mikuliniec, lat 57, wysłany do Irkucka.

- Kielarowski Józef*, Sierota bez rodziców z Podwołoczysk, oddany do przytuliska.
- Kowalski Tomasz*, Dyrektor Tow. zaliczkowego w Bełzie, lat 60, wypuszczony na wolność.
- Kuśmierczyk Franciszek*, Rzym. kat. wikary z Koropca, lat 29, wysłany do Permy.
- Kwasniak Zygmunt*, Uczeń ze Lwowa, lat 11, wypuszczony na wolność.
- Mahr Karol*, Urzędnik magistratu z Czerniowiec, lat 35, wysłany do Saratowa.
- Mielnik Andrzej*, Sierota bez rodziców, z Mościsk, lat 13, wysłany jako „dziecko pułku“ do Kazania.
- Mrazek Izidor*, Oficjał sądowy z Mikuliniec, lat 40, wysłany do Irkucka.
- Muszyńska Marga*, Żona oficera z Iwanówki, lat 38, wysłana do Irkucka.
- Nickowski Kazimierz*, Urzędnik pocztowy z Tarnopola, lat 48, wysłany do Niżnego Nowogrodu.
- Ossoliński Władysław*, Kontrolor podatkowy z Zbaraża, lat 40, wysłany do Irkucka.
- Paprocki Michał*, Rzym. kat. proboszcz z Koropca, lat 46, wysłany do Permy.
- Pilny Marian*, Inżynier, lat 26, wysłany do Orła.
- Pohl Józef*, Pocztmistrz z Baworowa, lat 58, wysłany do Kazania.
- Pompain Władysław*, Rządca dóbr, lat 62, wysłany do Kazania.
- Prorok Adolf*, Rzym. kat. proboszcz z Ostrowca, lat 48, wypuszczony na wolność.
- Richter Kazimierz*, Pocztmistrz z Wełdirza, lat 53, wysłany do Kazania.
- Rudnicki Stanisław*, Dzierżawca dóbr, lat 64, wysłany do Saratowa.
- Rutowski Tadeusz* Dr., Prezydent miasta Lwowa, lat 63, wypuszczony na wolność.
- Schwarz Celestyn*, Urzędnik magistratu z Rzeszowa, lat 30, wysłany do Irkucka.
- Serwatka Jan*, Urzędnik pocztowy z Tarnopola, lat 48, wysłany do Niżnego Nowogrodu.
- Skibiński Bronisław*, Urzędnik kopalni nafty, lat 32, wysłany do Irkucka.
- Skórski Zygmunt*, Słuchacz politechniki ze Lwowa, lat 23, odstawiony do cytadeli.
- Spittal Eugeniusz*, Profesor gimnazjalny z Tarnopola, lat 30, wysłany do Irkucka.
- Strycharski Ryszard*, Urzędnik kolejowy z Tarnopola, lat 38, wysłany do Irkucka.
- Szotarski Michał*, Ziemianin z Jabłonowa, lat 28, wysłany do Kazania.
- Wajda Amelia*, Żona mechanika ze Lwowa, lat 47, wypuszczona na wolność.

Wajda Elżbieta, Córka mechanika ze Lwowa, wypuszczona na wolność.

Wajda Józef, Mechanik ze Lwowa, lat 52, wypuszczony na wolność.

Wojczeszczuk Rudolf, Nauczyciel ludowy z Zarudzia, lat 34, wysłany do Irkucka.

Zakrzewski Zygmunt, Urzędnik kolejowy z Tarnopola, lat 30, odstawiony do komisaryatu (*uczastku*).

Nie mam zamiaru wymieniać wszystkich brańców, jacy przesunęli się falą w pochodzie na wschód, przez mury „Domu



Janina Białynia Chołodecka,

jako samarytanka w Polskiej infirmerji w Kijowie.

arestnego“, nadmieniam więc tylko ogólnikowo, iż było ich w całości 938 głów, a to 719 mężczyzn, 102 kobiet i 117 dzieci. Z pomiędzy nich liczył Grzegorz Kucała, ogrodnik z Myślenic,

lat 76, Józef Górowski rolnik z Koropca lat 79, Ferdynand Manner rolnik, lat 80, Rozalia Wajdakowa, wieśniaczka, lat 80, Jakób Kościuszko, szewc z Rohatyna zaś lat 83. Rolnik Ferdynand Graf z Bromilna, zapadł na oczy i ociemniał, Mieczysław Rosner, uczeń gimnazjalny z Tarnopola, dostawał wskutek pobicia, napadów szału.

Pod koniec r. 1915. nastąpiła zmiana w zarządzie „Domu arestnego“. Komitet pań ustąpił z posterunku, a zarząd gospodarczy objęła wyłącznie Helena Kuczalska, po niej Zofia Wolfowa. Miejsce Bachy i Gołębiowskiego zajął wspomniany poprzednio braniec Michał Hoffmann i sterował umiejętnie instytucją aż do czasu powrotu do kraju.

Jak wielkiem dobrodziejstwem był „Polski dom arestny“ dla jeńców cywilnych, świadczyły współczesne artykuły miejscowych czasopism, świadczyły listy dziękczynne i z głębi serca płynące na papier, wiązane słowa. Dla przykładu przytaczam wiersz, kreślony ręką 76 lat życia liczącego zakładnika Romualda Jelity Borzemskiego.

„Nie sądzicie źle bracia, że miłe ustronie,
Gdy z oczu i w sercu przepadnie,
Wszak ono w przejść życia obfitym zagonie,
Jak brózda głęboko tkwi na dnie.

Toż myślą bujając po niwach przeszłości,
Gdy spłyniem pod strzechy rodzinne,
Wspomnieniem, kto dzisiaj strapiony tu gości,
Powrócimy w te progi gościnne.

W pamięci zostaną na zawsze cne serca,
Choć życie u wielu popłynie,
Wśród szczęsnej znów doli, wśród wesel kobierca,
Choć pamięć cierpienia zaginie...”

Specyalne podziękowanie wręczono w dniu 16. grudnia r. 1915. Adeli Suskiej w postaci artystycznie wykonanego albumu, podpisanego przez liczne grono więźniów.

Po rewolucyi spełniał „Dom arestny“ misję przytuliska dla płynącej, w powrotnej drodze, fali zesłańców.

ROZDZIAŁ VI.

TRYB ŻYCIA W PENSYONACIE. — ZGŁASZANIE SIĘ W BIURZE POLICYJNEM. — TRUDNOŚCI W WYSYŁCE LISTÓW. — CZĘŚĆ MEJ RODZINY W KIJOWIE. — JEJ ŁÓŻ NA OB-CZYŹNIE. — SPECYALNA KOMISYA DLA SPRAW ZAKŁADNIKÓW. — ŚMIERĆ PAŃKOW-SKIEGO. — PIERWSZA WIGILIA. — EMERYTOWANI OFICEROWIE AUSTRYACCY. — STO-SUNKI TOWARZYSKIE. — FRANKOWSKI. — OSIŃSKI. — TRANSPORT INKWIZYTÓW. — EGZEKUCYE NA ŁYSEJ GÓRZE. — OFIARY W GRONIE TELEGRAFISTÓW. — BRAK ŚRODKÓW EGZYSTENCYI. — CMENTARZE KIJOWSKIE. — PECZERSKA ŁAWRA. — ZWIE-RZYNEC. — KĄPIELE W DNIERZE. — NIEDOMAGANIA ADMINISTRACYI MIEJSKIEJ. — BEZPAŃSKIE PSY I GOŁĘBIE. — ŻEBRACTWO. — DRUGA WIGILIA. — ZIMA 1916—1917

Obowiązek nałożony na zakładników codziennego jawienia się w biurze policyjnym, zniewolił nas do zamieszkania prze-ważnie w pobliżu gmachu policyi, w dzielnicy Starokijowskiej. Nająłem pokój wspólnie z dr. Hahnem i natrafiłem, szczęśliwym zbiegiem okoliczności w pensyonacie, na nader miłe towarzyskie stosunki. Okazała pięciopiętrowa kamienica przy ulicy Wielkiej Żytomierskiej l. 25, urządzona wedle wymogów nowoczesnej bu-dowy, była zajęta w przeważnej części przez Polaków. Tutaj mieli swe biura trzej adwokaci: Stanisław Boycza Modzelewski, Stanisław Berger i Tadeusz Dołęga Mostowski, tutaj zajmowali lokalności rodacy Stefan Adelman, Edward Wilski i Jakób Pi-szczkowski, ożeniony z obywatelką austriacką Lidyą z domu Schretterów. W sąsiedztwie mojem znajdowały się kwatery za-kładników z Kamionki strumiłowej ks. Czyreka i Batora. Całe czwarte piętro wchodziło w skład pensyonatu Henryki z Suli-ma Salisów, Doliwa Głębockiej, rodzono-ciotecznej siostry jenera-ła Aleksego Brusilowa*), naczelnego komendanta wojsk ro-syjskich. Przedsiębiorstwo było czysto polskie, nie tylko pod względem doboru lokatorów, ale i służby. Tutaj podali sobie dłonie zapędzeni zawieruchą wojenną rodacy z Królestwa, Ga-licyi, Wołynia, Podola i Ukrainy, by u wspólnego ogniska krze-pić sterane przeciwnościami siły, żyć wspomnieniem przeszłości, otuchą przyszłości, wypatrywać upragnionego blasku pogodnej jutrztenki. Grono lokatorów tych składały pierwotnie, obok czte-rech mężczyzn tj.: emer. profesora malarstwa Ludwika Srenia-wy Żmigrodzkiego, inżyniera Wacława Doliwy Głębockiego, dr. Zygmunta Hahna i mnie, same przedstawicielki świata niewie-śkiego, wszystkie prawie bolejące rozłąki z najbliższemi sercu osobami. Pierwsza z nich Zofia z Kochów Słepowron Sokołow-ska, ongi mieszkanka Warszawy, zgębiona przedwczesnym sko-

*) Antoni Niestojemski, szlachcic-ziemianin z okolicy Żytomierza miał z żony Ludwiki Dąb-Korzelińskiej dziesięć córek i syna Waldemara, zmarłego w chłopięcym wieku. Z córek wyszła Henryka za rosyjskiego jenerała inżynierii Hage-meistra, Kurlandczyka, druga Marya, za jenerała Aleksego Bru-siłowa, ziemianina w Kutańcie, trzecia Róża, zaś za Michała Sulima - Salisa, ziemianina w okolicy Żytomierza. Synem Maryi był głównodowodzący jenerał Aleksy Brusilow, córką Róży, Henryka zamężna za Emilem Doliwą Głębo-kim. Majątek ziemski Michała Salisa, przeszedł po śmierci na tegoż syna, Stanisława. Wedle twierdzenia ma być rodzina Brusilowów potomstwem dawnej szlachty polskiej Brusilowskich, noszących nazwisko od swej posia-dłości Brusilowa w powiecie Radomyskim, na Ukrainie.

nem ukochanej jedynaczki, Marty, zameżnej Wigurowej, pełna była troski o los pozostałych po niej wnucząt. Druga z rzędu Franciszka z Kawalskich Gozdawa Osuchowska, bratowa zasłużonego dobrze w narodzie adwokata warszawskiego, Antoniego Osuchowskiego, wyczekiwała wraz z córką Janiną, żoną adwokata Józefa Lubicz Dołnera, powrotu z terenu bojów syna, doktora medycyny, niemniej zięcia, oficera artylerii. Trzecia, Amalia z Wrzeszczów Rawicz Grabowska, gorliwa opiekunka przyrody, słała tęskne myśli za synem jedynakiem, oficerem kirasyerów, pełniącym w czasie wojny służbę przy oddziałach opancerzonych samochodów. Marya z Szostakowskich Sreniawa Zmigrodzka, żona Ludwika, oddawszy dwóch synów i zięcia na usługi zapasów wojennych, wlewała słowa pociechy w serce utęsknionej po mężu córki Oktawii. Z dwóch córek Henryki Głębockiej tj. niezameżnej Kazimierzy i Stanisławy poślubionej Stefanowi Poraj Trzebińskiemu, przypadł tej drugiej, w czasie mojego pobytu w pensjonacie ciężki los, złożenia do snu wiecznego zwłok męża. Młode mieszkanki Łodzi, Marya i Helena Wąż-Węzykówna, rzucone wraz z babką Anną Alwasową falą wypadków do Kijowa, oddały się tutaj z zapałem zawodowej pracy w biurze Warszawskiej asekuracji, względnie w szkole internatu Polskiego Komitetu pomocy ofiarom wojny. Zaczisniej i spokojniej płynęły dni zawieruchy wojennej jedynie Zofii Sas Horodeckiej i L. Strzemię Buszczyńskiej.

Opisany pensjonat, to jedno z nielicznych ognisk artystycznego i umysłowego życia Polonii Kijowa. Duszą życia tego była synowa właścicielki pensjonatu Halina z Łabędź Przyszychowskich, Wacławowa Głębocka, wzorowa dawniej uczenica Lwowskiego Konserwatorium muzycznego, występująca później na estradzie koncertowej. Podczas gdy mąż jej, ongi słuchacz lwowskiej Politechniki, powołany do służby dla celów wojennych, w randze podpułkownika, nużył swe siły żmudną pracą biurową, nie używała żona na marne, wolnego od zajęć gospodarczych czasu, kształciła w muzyce młode uczennice, brała udział w posiedzeniach komitetów i aranżowała *ensemble* z kompozytorem Aleksandrem Wielhorskim i artystami skrzypkami Juliuszem Mokłowskim, tudzież Kazimierzem Piątyhorowiczem, w gronie innych reprezentantów świata tonów. Praca ta przyniosła jej w darze zaszczytne stanowisko prezeski Polskiego Towarzystwa muzycznego w Kijowie.

Za jej to inicjatywą odbywały się wśród lokatorów pensjonatu i ich przyjaciół, naukowe dyskusje w myśl porozdzielanych z góry referatów. Sama inicjatorka objęła temat: „Człowiek, jako użyteczna jednostka społeczna“, dr. Leszek Konopacki temat „Wpływ rozwoju techniki na rozwój kultury społecznej“, Tadeusz Garczyński temata „O przeznaczeniu człowieka“ tudzież „O wychowaniu domowym“, Zofia Stankiewiczówna zaś: „Wpływ sztuki malarskiej na oświatę społeczeństwa“. Cały cykl odczytów przypadł w udziale profesorowi dr. E. Dunikow-

skiemu, który omawiał „Geologię ziem polskich“, mnie zaś prelekcye: „Książd, kobieta i konfesyonał — z powodu zarzutów podniesionych w czasopiśmie „Myśl niepodległa“ przeciw kościelnej spowiedzi i Teologii moralnej Alfonsa Maryi de Liguoriego“, dalej „Gertruda z Komorowskich Szczęsnowa Potocka, (Marya w poemacie Malczewskiego) i odkrycie jej grobowca w Witkowie“, w końcu „Współzycie człowieka ze światem zwierzęcym i zwierząt ochrona“. Oba pierwsze temata powtórzałem po dwakroć.

Balsamem na zbolełe, pełne tęsknoty, serce moje był tego rodzaju duchowy pokarm. Debaty naukowe, odrywały myśl od ponurej, smutnej, ołowianej życia szarzyzny, mistrzowskie echa melodyj unosiły ją znów ku stronom rodzinnym, ku drogim sercu memu, współcierpiącym rozłąki istotom.

Z szeregu dalszych przyjaciół, jawiących się w gronie pensyonarzy, należy się wzmianka Celestynie z Głębockich Leliwa Rohozińskiej, matce trzech synów oddanych na usługi armii i Paulinie Jaxa Bydłowskiej, opłakującej śmierci, poległego na polu bitwy syna. Świat malarsko-artystyczny reprezentowała w tem gronie, obok Zofii Stankiewiczówny, Olga Łabędź Przyszychowska*) uczenica szkół w Warszawie i Dreźnie, świat innych działów społecznego ustroju Janina Miłobędzka, Marya Trepkowska i Anna Korwin Szymanowska. Do grona mężczyzn należeli między innymi adwokaci Adam i Tedeusz Leliwa Rohozińscy, podpułkownik artylerji Stanisław Leliwa Rohoziński, ziemianin Józef Junosza Połchowski, Feliks Próchnicki, kompozytor Karol Korwin Szymanowski, Edward Żołędziowski i Maryan Szumlakowski. Poważny nastrój i dystynkcyja nadawała całości towarzyskich zebrań, uroczystego piętna.

Nie uprzedzajmy atoli biegu wypadków.

Pierwotnie był tryb życia mego jak wogóle zakładników, nader jednostajnym. Między godziną 10 a 11 przed południem, jawienie się w biurze policyjnym, następnie promenada kolegów po górze św. Włodzimierza, odczytywanie gazet, żwawe dyskusye, debaty, kombinacye, horoskopy, marzenia o rychłym powrocie do domu. Po obiedzie znów odczytywanie gazet, lektura książek, znowu spacer, wczesna kolacya, w końcu sen.... sen niespokojny, przerywany, gorączkowy, pod znakiem zapytania, co przyniesie następny poranek, pocieszające-li, czy też smutne wieści. O zbieraniu zapisków, materyału, o pracy literackiej nie mogłem na razie myśleć, wobec obaw przed podejrziwą żandarmeryą i ochroną, wobec grozy domowej rewizyi. Znaleziony manuskrypt niewinnej nawet treści, mógł mnie zaprowadzić w drodze administracyjnej na — Sybir.

W policyi potwierdzał nam zrazu, codzienne jawienie się zastępca dyrektora Woronczuk. Niebawem okazał się proceder

*) Na odjeździe otrzymałem od Przyszychowskiej mój kredkowy portret, sporządzony w czasie ostatnich dni niewoli.

ten dla niego uciążliwym, poruczył więc czynność od 22. września 1915 komisaryatom (*uczastkom*), w przeważnej części komisaryatowi Starokijowskiemu. Tam również byliśmy niepożądanymi dla czynowników gośćmi, to też po pewnym przeciągu czasu, polecono nam zjawiać się tylko co trzeci dzień, w końcu raz na tydzień w biurze. Rewolucja uwolniła nas zupełnie od przykrego tego obowiązku niewolników. Trzeba, co słusznie, przyznać, że tak policmajster S. Gornostajew, jak i Woronczuk, niemniej *prystaw* Tiuryn i tegoż sekretarz Łuka Iwanowicz Anisijew, traktowali nas zawsze przyzwoicie i uprzejmie. Trzej pierwsi zostali po rewolucji usunięci ze swych stanowisk, Anisijewa „rozstrzelali później w zapale morderczym“ jak nam mówiono, „watahy bolszewickie“. Tragiczna śmierć jego, obudziła u nas ogólne współczucie. Na szczęście okazała się opowieść, fantastyczną plotką.

Do niewysłowionych udręczeń moich należała niemożliwość listowego porozumienia się z rodziną, pozostałą w kraju. Dostarczył mi z pomocą dr. Beck, mający stosunki w tym kierunku i jemu zawdzięczyłem otrzymanie z początkiem grudnia 1915 r., a więc w pół roku prawie po wyjeździe ze Lwowa, pierwszej wiadomości od córki Kaczkowskiej. W ciągu dalszego pobytu w niewoli wysyłałem listy i karty za pośrednictwem różnych instytucji, komitetów i prywatnych osób przez Bułgarię, Rumunię, Szwecję, Danię i Szwajcaryę*), na 439 korespondencji nie wiem jednak, ażali dziesiąta część doszła do rąk adresatów. Najpewniejszą była jeszcze wysyłka za pośrednictwem konsulatu hiszpańskiego, kosztowała atoli drogo, gdyż niespełna po 2 ruble od listu i została później zabronioną.

Podczas gdy wypuszczony z więzienia stawałem pierwsze kroki po ulicach Kijowa, poczęły napływać tutaj ze zlewanych strugami krwi, trawionych ogniem ziemię Polski, potoki ludzkich głów, fale ofiar, zmuszonych siłą do opuszczenia zburzonych sadyb ojczystych, gnanych w dal grzmotami pocisków, tabory tułaczę, oderwane od pnia ojczystego, dążące bezradnie w świat, z widmem zagłady przed załzawionym wzrokiem.

Piorunującą była dla mnie, w tych dniach chaosu, wiadomość, zakomunikowana przez kolegę Włodzimirskiego, iż ta część mej rodziny, która przebywała podczas wojny w Kopyczyńcach, została wysiedlona przez Rosyan do Kijowa. Odszukałem ją przy pomocy ogłoszenia w „Dzienniku kijowskim“. Przyczyną draköńskiego zarządzenia była okoliczność, iż dom dziadków Karwowskich zarekwirowało wojsko rosyjskie na kwaterę dla oficerów, i że przebywający z matką u dziadków syn Olgierd przekroczył 17 rok życia. Tego ostatniego, jakkolwiek głuchoniemego, podciągnięto pod kategorię wojennie obowiązanych

*) W Szwajcaryi pośredniczył uprzejmie dr. Witold Belza i popadł za to, jak się później okazało, w podejrzenie władz austriackich, które czyniły mu następnie trudności w udzieleniu pozwolenia powrotu do kraju.

i chciano wysłać dalej w głąb Rosyi, albo aż na Sybir. Nielada trzeba było zabiegów ze strony rodziny i komitetów polskich, ażeby zdobyć świadectwo sztabowego lekarza, stwierdzające zupełną niezdolność młodzieńca do służby żołnierskiej i uzyskać dla niego pozwolenie pozostania w Kijowie. W myśl żądań władz rosyjskich, iżby wykazał się użytecznem zatrudnieniem, umieściliśmy go w fabryce instrumentów optycznych i fizyko-mechanicznych naszego imiennika, a prawdopodobnie z przed dwu wieków i kuzyna, Feodozego Efimowicza Chołodeckiego, należącego już wraz z żoną, z domu Kubickich, naturalnie i z dziećmi Mikołajem i Natalią, do społeczeństwa rosyjskiego. Objaw taki rusyfikacyi rodaków naszych na wschodzie jest zjawiskiem powszechnym i nie obudza wśród Polonii kresowej żadnego zdziwienia.

Zanim nadeszło pozwolenie gubernatora do pozostawienia Olgierda w Kijowie, był on narażonym na nagabywanie ze strony „rewirowego“, który usiłował groźbą uwięzienia skłonić go do bezzwłocznego wyjazdu. Po otrzymaniu pomyślnej decyzji gubernatora, strawił Olgierd rok blisko cały, przy ciężkiej pracy nad wyrobem cukrownianych manometrów.

Niezbędną rzeczą było dla mej rodziny wyszukanie w Kijowie środków do życia. Posiadały matka i córka Janina świadectwa z kursu, przepisanego w Austrii dla służby samarytańskiej i na tej podstawie uzyskały obie posady tak zwanych w Rosyi „felczerek“ w utrzymywanym przez komitet szpitaliku dziecięcym pod nazwą: „Kropla mleka“. W kilka miesięcy później powstała z ramienia „P. T. P. O. W.“ specjalna polska infirmerya dla dzieci wygnańców, przy ulicy Lwowskiej l. 77, i tam to objęła matka obowiązek zarządczyni, Janina zaś obowiązki „felczarki“. Ta ostatnia popadła w ciężkie słabości, jakie nawiedziły także i Olgierda, to też musiała po ośmiomiesięcznych trudach zaniechać dalszej na powyższem polu pracy. Oddała się nauce malarstwa pod kierownictwem profesora Ambrożego Sabatowskiego, w lecie 1917 r. zaś wyjechała w celu odzyskania sił, na świeże powietrze do wygnańczej rodziny ziemian z Łomżyńskiego, Stanisławowstwa Grochowskich, mieszkającej chwilowo w Machnówce obok Berdyczowa*). Matka objęła zarząd komitetowego sklepu wyrobów „Polskiego biura pracy“, fundowanego głównie zasobami Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego.

Olgierd uzyskawszy specjalne pozwolenie policmajstra, rozpoczął naukę w dziale techniki dentystycznej, do którego to zawodu miał wstąpić we Lwowie tuż przed wybuchem wojny.

Podczas gdy rodzina moja porała się ze zdobywaniem źródeł egzystencji, wisiała nademną wciąż zmora wywiezienia w głąb Rosyi, przeplatana zabiegami o pozwolenie powrotu do kraju. Zabiegi te opierały się naturalnie, na łącznej akcyi

*) Po powrocie do kraju poślubiła radcę sądowego Włodzimierza Recka.

wszystkich zakładników, nie wielu bowiem tylko z nas było w miłym posiadaniu dróg, środków i sposobów do otrzymania wyjątkowo osobistego pozwolenia wyjazdu z granic Rosyi. Do wyjątków tych należeli jedynie dr. Schleicher, dr. Beck i dr. Fedak, którzy już w połowie 1916 r. opuścili Kijów.

Kwestyę obrony zakładników przed wytransportowaniem dalej na wschód, przed odnośnym *ukazem* naczelnego wodza



Olgierd Białynia Chołodecki,

braniec w Kijowie.

armii rosyjskich, poruczyliśmy adwokatowi W. Zdanowiczowi, a ostatecznym rezultatem starań było utworzenie z początkiem października 1915 r. specjalnej komisji: „*Osobaja komisja o założnikach i administracjonno wystanych iz Galicji, obrazowania pri wojennom Generał-gubernatorie Galicji*“, która zajęła się rozpatrzeniem całej sprawy. Dzięki przychylniej opinii tejże komisji a zwłaszcza jej przewodniczącego bar. Knorringa, pozostawiono

wszystkich zakładników chrześcian w liczbie 106, osób w Kijowie. Zakładników Żydów, wywiezionych z początkiem września 1915 r. do Niżnego Nowogrodu, zatrzymano tamże, pomimo, iż pierwotne rozporządzenie naczelnego wodza, opiewało na przetransportowanie ich na Sybir. W rok później, w jesieni 1916 r. rozpoczęły władze i komitety sporządzanie pierwszych spisów, wykazów i imiennych list, mających rzekomo na celu wymianę i uwolnienie z niewoli zakładników i administracyjnie zesłanych. Spisy te powtarzały się w rozmaitych formach i odmianach kilkanaście razy, zanim znalazły zastosowanie z końcem r. 1917 i początkiem r. 1918 po rewolucji i kilkakrotnych przewrotach w oczekującym krwią imperium rosyjskiem.

Jakżeż przykre, nerwującemi były dla mnie, obiegające na powyższy temat wieści i plotki, zwodnicze nadzieje i ciężkie doświadczenia ponurej rzeczywistości!

W dniu 16. listopada 1915 r. doszła mnie smutna wieść o śmierci towarzysza niedoli Pańkowskiego. Zmarł wskutek zapalenia płuc. Nazajutrz wziąłem udział w egzekwiach, odprawionych przy zwłokach przez ks. Cegielskiego, w dniu 18. listopada zaś w okazałym pogrzebie, urządzonym staraniem miejscowego „Komitetu ukraińskiego“. Pańkowski był drugim z rzędu, na szczęście i ostatnim, z lwowskich zakładników, któremu było przeznaczonem nie dożyć powrotu w domowe progi. Pierwsza ofiara przemocy to Leon Goldmann, zmarły z końcem sierpnia czy też początkiem września r. 1915 wskutek braku fachowej opieki przy zakażeniu krwi.

W ponury, wichurny, śnieżny wieczór wigilijny r. 1915 podążyłem do „Polskiego domu arestnego“, gdzie troskliwy o nasz los „Kijowski polski komitet“ przy pomocy grona pań z Adelą Suską na czele, przygotował dla internistów i przybyszów zastawę świąteczną i tradycyjną choinkę. Sto trzydzieści kilka osób z duchownymi i świeckimi przedstawicielami kijowskiej Polonii panami i paniami, łamało się opłatkiem, miało między sobą życzenia, z których najmiłszemi były życzenia rychłego powrotu w domowe poddasze. Dwa tylko usłyszeliśmy wtedy przemówienia, jedno członka organizacji Antoniego Czerwińskiego, drugie dziękczynne, dra Rutowskiego, lecz w tych kilku słowach, odczuliśmy wiele niedopowiedzianej treści.

Łagodna była zima r. 1915/16, to też nie ustawały przedpołudniowe spacery po górze św. Włodzimierza. Miejsce to przekształciło się w redakcyjny lokal „Ustnego Kurjerka“ brańców. Komunikaty rozchodziły się następnie wśród dalszych szeregów wysiedleńczych z Galicyi.

Obok zakładników wogóle, a specjalnie obok zakładników Lwowa, grupowali się wtedy niektórzy z emerytowanych i rezerwowych oficerów austriackich, internowanych w Kijowie, w liczbie 20 osób, a to: generał Leopold Ryck, pułkownicy Alfred Ambros-Rechtenberg, Hipolit Götter, Paweł Karge, pod-

pułkownicy Karol Krauss, Alfred Pożniak, majorowie Antoni Calt, Jan Dziedzic, Ignacy Ludwig, Karol Minasowicz, kapitanowie Apolinary Górnicki, Józef Klein i Edmund Lose-Losenau, starszy porucznik, zarazem starszy radca rachunkowy Krajowej Dyrekcyi Skarbu Leodegar Schechtel, porucznik, urzędnik Poczt i telegrafów Henryk Altkorn, porucznik, urzędnik Domen i lasów państwowych Józef Chwojka, porucznik, radca tychże Domen i lasów Hieronim Hlebowicki, porucznik Izydor Selzer, porucznik, właściciel dóbr Władysław Weissmann-Zawidowski, w końcu porucznik, urzędnik Poczt i telegrafów Eugeniusz Wład.

Poza spacerami po górze św. Włodzimierza i wymianie myśli z towarzyszami promenad, odwiedzałem od czasu do czasu rodziny Brennerów-Flammenberg, Juliana Nowiny Nowakowskiego, Rohozińskich, Piszczkowskich, dra Epsteina, Habdank-Białoskórskich i innych. Miłą była dla mnie zawsze pogawędka z sędziwym ziemianinem Bronisławem Prus-Frankowskim, uczestnikiem styczniowego powstania. Szesnastu członków domu tego notowały wówczas Czarne listy rządu rosyjskiego, wśród nich znanego dobrze w dziejach męczennika za wolność, Leona Frankowskiego. Leon był bratankiem Bronisława, ongi urodziwego młodzieńca, wcielonego, na skutek rozkazu cara Mikołaja I. przemocą w czasie kampanii krymskiej w szeregi wojsk rosyjskich. W epoce przygotowawczych prac do wypadków r. 1863/64 wszedł Bronisław w poczet konspiratorów jako zastępca Leona Modzelewskiego, naczelnika organizacyi u wschodniej rubieży ziem polskich. Uwięziony, zesłany na Sybir, spędził tamże całych lat szesnaście, zdala od ojczyznej ziemi, od rodziny i narzeczonej z domu Komarnickich, która wyczekując wiernie upragnionego powrotu ukochanego, stanęła ostatecznie u stopni ołtarza. W chwili zawarcia naszej znajomości z Bronisławem Frankowskim liczył tenże 87 lat wieku. Postać sympatyczna, o pogodnym obliczu, okraszonym lekką jedwabną rogatywką, noszoną pod czapką lub kapeluszem, niby drugi typ znanego dobrze dawnemu pokoleniu Lwowian, napoleończyka Jana Bończy Pawulskiego. W pogodne dni letnie, a także i zimowe dążył codziennie pieszo, lub dorożką, do kościoła pod wezwaniem św. Aleksandra na mszę, pacierze i rozmyślania o przebytych życia kolejach. Mimo starości i steranych sił rwał się do pracy społecznej i patryotycznej, uczestniczył w zawiązywaniu w Śmile, powiatu czerkaskiego, miejscowego oddziału „Polskiego Tow. pomocy ofiarom wojny“. Nie brakło nam nigdy tematu do wymiany myśli, do opowieści o minionych czasach i zdarzeniach, do charakterystyki spoczywających dawno w mogiłach zasłużonych kresowców, znanych jemu osobiście, mnie zaś z opisów i źródeł dziejowych.

Mieszkało stale w Kijowie grono mych dawnych znajomych jeszcze z przed ćwierć blisko wieku, kiedy to pięć córek Stefanowstwa Ambrożewiczów przybyło pod opieką ciotki He-

leny Górskiej z Ukrainy do stolicy Galicji, aby tutaj w Zakładzie naukowo-wychowawczym im. ś. p. Felicji z Wasilewskich Boberskiej, sterowanym wówczas przez teżę następczynię Kamilę Poh, czerpać w ojczystym języku wiedzę szkolną, rozgrzewać w sercu ducha patryotycznego. Po ukończeniu nauk i powrocie w rodzinne strony wyszły wszystkie Ambrożewiczówny za mąż i otaczają teraz troskliwą opieką swoje „pociechy“. Zwią się po mężach: Marya Wąż-Osińska, Olga Terpiłowska, Eugenia Dąbkiewiczowa, Helena Jastrzębiec-Strzemboszowa i Antonina Przerwa-Tetmajerowa. Nie odnawiałem w pierwszym okresie pobytu mego w Kijowie, dawnej z nimi znajomości, a to przez wzgląd na Aleksandra Wąż-Osińskiego, męża Maryi, który jako generał rosyjski walczył na polach bitew. Nie przyznawali się i oni z tego samego względu do znajomości ze mną, gdyby bowiem była żandarmerya lub ochrana wpadły na ślad koneksyj, byłyby obie strony najniewinniej w świecie, narażone na dotkliwe konsekwencje. Dopiero po rewolucji mogliśmy, wobec zmienionych stosunków, ponowić dawne relacje. Generał Osiński, gorący patryota, odegrał później historyczną rolę przy formowaniu polskich legionów w skolataną rewolucyjnymi kataklizmami Rosji.

Ulicę Wielką Żytomierską, przy której mieszkałem, jedną z głównych arterij ruchu Kijowa, przebiegały trzech szlaków wozy tramwajowe. Monotonne echo wozów tłęczało codziennie, odmienny głos pędzącego po szynach wagonu o niezwykłym wyglądzie. Stary, zużyty wehikuł bielił się w zimie matowymi szybami, w lecie przepuszczał skąpo, tylko przez żaluzje, powiew świeżego powietrza. Niemile dźwięczał w uszach terkot dzwonka, naciskanego bez przerwy żylastą dłońą motorowego, liczny zastęp zaś oznaczony czarnymi wyłogami, uzbrojonej w szablę i rewolwery, straży, stwierdzał dowodnie, iż w wnętrzu ponurego przybytku siedzą więźniowie, wyczekujący decyzji swych losów, groźnego nieraz wyroku. Wielu z nich to podejrzani politycznie, częstokroć zupełnie niewinni, a tylko ofiary przypadku, zbiegu okoliczności, podłej denuncjacji *ochrany*, lub jakiegoś mściwego osobnika, ofiary, skazane na udręczenia, mitręgę, a w niedalekiej przyszłości może i na zupełną zagładę.

Skazanych na śmierć odstawiano na Łysą górę do jednego z czterech fortów, okalających prastary gród Rurykowiczów. Tamto odbywały się egzekucje z reguły pod osłoną nocy, wyjątkowo tylko w czasie godzin dziennych. Delikwentów stawiano stosownie do wyroku, bądź pod słupem szubienicznym, bądź na miejscu rozstrzelania. Podoficer i kilku sąдатów, oto cały kondukt przedśmiertny i pośmiertny, jaki włókł następnie martwe ciało do otwartego grobu, przygotowanego w pobliżu grobu mordercy osławionego ministra Stołypina. A jak łatwo było popaść niewinnym w straszne podejrzenie i pełne grozy skutki, stwierdza cykl wypadków, jakie rozgrywały się w apa-

ratowej sali kijowskiego telegrafu. Tamto dzierzył w czasie wojny dyktatorską iście władzę, wyższy jakiś oficer, pan życia i śmierci cywilnego personalu. Surowy, bezwzględny podejrzliwy, upatrywał w każdym zdarzeniu szpiegostwo lub zdradę. Biada urzędnikowi, który w nawale czynności spóźnił depeszę, biada temu, który pomylił się, znużony nocną służbą, lub opuścił niebacznie jakie słowo tekstu. A cóż dopiero mówić o katastrofie, gdy zginęła część lub całość depeszy! Podejrzany szedł pod sąd wojenny, z góry skazany na kondemnatę. Wymieniano mi nazwiska ofiar: Morozow i Wyczółkowski z Lublina, dalej Nierajowski, którego prowadzono przez ulicę W. Żytomirską, z przyłożonemi do piersi bagnetami konwoju.

Jakimże tryumfem było dla drżącego o swe życie personalu telegraficznego, gdy stwierdzono, iż stary woźny, niosąc przez korytarz plik telegramów, zgubił po drodze, niedbały, część cennej zawartości. Większym jeszcze tryumfem było odkrycie koniuszka zaginionej depeszy pod gorsem fartuszka służącej, zamiatającej po parękroć razy dziennie salę aparatuową. Cicha, niepokazna, skromna, milcząca, pod obcem meldowana nazwiskiem, robotnica, poszła pod sąd wojenny, któż jednak wróci męki, cierpienia, honor niewinnym ofiarom wydarzeń? Oto pytanie, jakie mimowoli przychodziło mi na myśl, ilekroć razy zajączał dzwonek roztrzęsionego wozu tramwajowego.

Z końcem czerwca r. 1916 upłynął dla lwowskich zakładników roczny termin zakontraktowanego w Banku przemysłowym przez dr. Rutowskiego zasiłku, a gdy ten ostatni, na skutek rozkazu władz rządowych opuścił Kijów, przeniósł się do Rostowa nad Donem, następnie spędzał lato w Kisłowodzku, w podróży po Kaukazie i Krymie, ujrzelśmy się w nielada kłopotcie pieniężnym. Po długich dopiero zabiegach, po licznych troskach, połączonych z pokonaniem przeszkód, nieuzasadnionej natury, zdobyliśmy solidarną poręką pożyczkę po 120 rubli miesięcznie na głowę. Skromny, nader skromny to był, wobec wzrastającej drożyzny, fundusz do życia, w każdym jednak razie uspokoił nieco nasze obawy i — nerwy.

Po roku przeszło niewoli, po roku bezskutecznego targania jej więzów, pokrzepieni na duchu, jedynie nabożeństwem, odprawionem przez ks. Sopucha w dniu pierwszej rocznicy naszego wywiezienia na obczyznę, poczęliśmy szukać w nowych wrażeniach, ukojenia dla „spowitej tęsknotą duszy“. Ks. Sopuch udał się w kilkutygodniową podróż w celu odwiedzenia internowanych w głębi Syberyi kolegów zakonnych, inni zakładnicy zaś aranżowali wyjazdy do położonych w okół Kijowa letnisk i miejsc wycieczkowych. Ja nie miałem ani sił, ani ochoty do dalekich, a częstych ekskurzji, to też po jednorazowym odwiedzeniu Puszczy wodnej, ograniczałem się na spacerach po ogrodach i parkach, na zwiedzaniu Ławry Peczerska i uroczo położonych cmentarzysk stolicy ziem ukraińnych, mogiły Askolda i Bajkowej góry.

Lubię błędzić pomiędzy grobami i pomnikami, lubię odczytywać omszone napisy, odświeżać w pamięci czasy minionych pokoleń, stawiać na nowo przed oczy zapomniane postacie, jakie świeciły ongi wśród niewdzięcznych zwykle tłumów, zasługami wobec społeczeństwa i narodu w myśl zasady:

Krótkie życie człowieka — śmierć ciało w proch zmienia,
Toż w uczynkach zostawmy świadectwo istnienia...

Na katolickim polskim cmentarzu Kijowa, na Bajkowej górze nie wiele zdołałem odszukać nagrobków ludzi zasłużonych, główny bowiem zastęp rodaków, którzy w ciągu stukilkudziesięciu lat, usiłowali z orężem w jednej, a z kielnią zrzeszeń i oświaty w drugiej dłoni, rozcinać okowy, budować gmach wolności, płaczącej utraconych swobód Ojczyzny, nie mógł z łatwo zrozumiałych powodów, być przekazany pamięci potomnych, napisami na mogiłnych kamieniach.

Zmówiwszy pacierz za dusze tych kolegów, którzy jako brańcy spoczęli snem wiecznym zdala od rodzin i ognisk domowych, dążyłem za jar, gdzie widnieje parotysięczne zbiorowisko grobów i zielonych krzyżyków drewnianych, na miejscu, przeznaczonem dla jeńców, umierających w szpitalach i barakach. Na krzyżykach czarne tabliczki, na nich napisy, uskutecznione białą farbą i pędzlem, w rosyjskim naturalnie języku, zawierające tylko słowa „austr. arm.“ i nieczytelne nieraz nazwisko nieboszczyka. Na wielu tabliczkach znalazłem miast nazwiska, słowo „nieznany“, a więc jedno z ogniw owego bezkresnego łańcucha mąk, cierpień i tragedji, gniołącego ludzkość w ciągu długich lat światowej wichury wojennej.

Wspomniałem powyżej o Peczerskiej Ławrze, o tem ognisku religijnego życia ludu ruskiego, które uczyniło Kijów — macierz wszechgrodów Rusi — zarazem i Jerozolimą dla wyznawców wschodniego obrządku. Każdy z nich uważa za swój obowiązek, choć raz w życiu uderzyć czołem przed relikwiami, spoczywających tamże świętych. O liczbie zwiedzających Ławrę, zwłaszcza w dniu 15. sierpnia, pątników, świadczy fakt, że w samym wnętrzu murów klasztornych, w utrzymywanych specjalnie dla gości t. zw. „hotelach“ znajduje przytułek i nocleg po dwadzieściakilka tysięcy ludzi. Dla posiadających odpowiednie fundusze stoją do dyspozycji także i restauracye Ławry, wydające bez odmiany jedne i te same postne potrawy, regulamin bowiem zabrania używania nawet i nabiału. W czasie jednej z wycieczek, zaszczycony zaproszeniem na fetę obiadową, otrzymałem w refektarzu (inni przybysze jadają na podwórzku i w ogrodzie) całą wagę zupy, tak zwanej „solonki“, sporządzonej przy zastosowaniu oliwek, z tłustych i słonych ryb morskich Astrachanu, dalej kotlet z tych samych ryb, smażony na oleju, karafkę chlebnego kwasu dla gaszenia pragnienia po słonym obiedzie, ponadto czarny, razowy chleb. Rozmiary porcyj, o dziwnym smaku, przewyższały konsumpcyjną siłę, nawykłego do

lżejszych potraw, przybysza z zachodu, to też nie mogę powiedzieć, iżbym był uraczonym temi przysmakami. Bezpośrednio z Ławry podążyłem tego samego dnia, w myśl programu, w dalszą wycieczkę do nowej, będącej jeszcze w stadyum rozwoju, Ławry Juona, gdzie dostarczała znów przybyszom publiczna restauracya kłasztorna słodkiego pieczywa i potężnych samowarów do herbaty.

Jako przyjaciel przyrody nie omieszkalem powtarzać wycieczek do położonego przy szosie brzesko-litewskiej „Kijowskiego Zwierzyńca“, odwiedzać reprezentantów dzikiej fauny, przeważnie tych rodzajów, gatunków i odmian, jakie zamieszkują olbrzymie europejskie i azjatyckie obszary Rosyi. Zwierzyniec ten jest instytucją nową, w stadyum organizacji, wymagającą urzędzeń, obfitych wkładów i pracy, wymagającą wyszkolonej służby, to też pod opieką surowych, niedbałych, nierozwijających niezbędnej troskliwości i przezorności dozorców, przedstawiała ona smutny obraz rzeczywistości.

Mimowoli nasuwa się czytelnikowi pytanie, jak się ma w Kijowie rzecz z kąpielą, w potężnych nurtach Dniepru?

Ma się poniżej wszelkiej krytyki...

Nie należy ona wcale do przyjemności i higienicznych sportów, jeśli się zważy cały szereg niedomagań, z jakimi musi walczyć, spragniony ochłody, osobnik. Brak odpowiednich urządzeń, budek, łazienek, basenów, strojów kąpielowych, brak należytej komunikacji z miastem, cała sieć odpływów i ścieków, znoszących do Dniepru brudy i nieczystości kloak, w pierwszym rzędzie żydowskiej dzielnicy Padolu, liczny poczet topielców, padających co roku ofiarą zdradliwego łożyska, przestroga magistratu czyli dumy miejskiej przed bakteriami zakaźnych chorób, w razie chwycenia do ust rzecznej wody, wszystko to, odstrasza, pomimo szerokiej plaży od strony wyspy Truchana, od używania kąpeli pod gołym niebem, w rajskim kostiumie, wśród grozy utraty pozostawionego na brzegu odzienia.

Już to w ogóle dalekim jest Kijów w wielu kierunkach od zaspokajania rzeczywistych potrzeb i wygod ludności. Weźmy za przykład, choćby nawet najnowsze, po europejsku niby budowane kamienice. Konstrukcye ścian wewnętrznych są tak filigranowe, iż stukanie i łomot nad głową, nocne rozmowy z sąsiedzi, płoszą sen z oczu. W kamienicach tych istnieją wodociągi, lecz artezyjska woda dochodzi do górnych piąter tylko podczas nocy. Mieszkańcy zamiast spać, czuwają więc, odkręcając i zamykając krany, a że nieraz sen zmoży znużone powieki, nie wyjątkowym zjawiskiem są zimne tusze, jakie budzą nagle, mieszkających na niższych piętrach, sąsiadów. Sam doznałem kilkakrotnie tego rodzaju przykrych niespodzianek. Nie dziw więc, że „Humorystyczny słownik kijowski“ przypisuje artezyjskiej wodzie tę dziwną właściwość, że „nie chce cieć z wodociągu wtedy, kiedy cieć powinna“.

Istnieją w nowych kamienicach klozety, lecz bez wody do splukiwania, istnieją łazienki, również bez wody, istnieją kaloryfery, nie ma atoli węgla. Zresztą psują się często, niepomne na mroźną aurę i lute ukraińskie wichry. Elektryczne instalacje słabe wydają światło, niekiedy zupełny brak prądu. Windy z krajowych fabryk łatwo zawodzą i albo wypowiadają służbę, albo, jak to mnie się trafiło, mkną szybkim pędem pod sam dach budynku. Sytuacja chyba nie do pozazdrosczenia! Swoją drogą, że nie ma i w tym kierunku „reguły bez wyjątku”. Panna M..., Lwowianka, usłyszała podczas katastrofального postoju windy, słowa oświadczyć, płynące z ust współtowarzysza podróży powietrznej hr. T... Zdarzenie to dało mnie impuls do nakreślenia żartobliwego wiersza, kolportowanego później mile, w odpisach, przez różne, młodsze i starsze kijowianki, kandydatki do stanu małżeńskiego.

„Winda, świetny to pomysł... lepszy być nie może,
Gdy dwoje młodych razem, unosi w przestworze...
W tem „trzask!” winda się psuje i w pół drogi stawia...
Wiele wtedy kłopotu, lecz pyszna zabawa!

Sam słyszałem, a na to słowo państwu daję,
Jak szeptali, „niech winda jak najczęściej staje”.
Ej! figlarze... wiedzieli, iż czasem się zdarza,
Że winda, gdy zepsuta, wiezie do... ołtarza!...

Z wyjątkiem paru ulic, posiadających szerokie i wygodne trotuary, stoją do dyspozycji publiczności jedynie chodniki z cegieł i rzecznych ułożone kamyków, nierówne, pełne dziur, wybojów, kałuży, krawędzi, istne karkołomne pułapki. Nie znamem tamże jest wpuszczanie rynien deszczowych popod trotuary i budowanie poprzecznych przejść z jednej strony ulicy na drugą, nieznanem odmiatanie śniegu, oczyszczanie z lodu chodników, posypywanie ich piaskiem lub popiołem.

Dotkliwie odczuwają przechodnie w tak rozległem, jak Kijów mieście, brak publicznych miejsc ustępowych, a typowego przykładu obojętności i niedbalstwa magistratu dostarczają brzegi Dniepru i wijące się nad temi brzegami promenady o przepysznych wprawdzie widokach, lecz pozbawione stosownych urządzeń i ozdób sztuki ogrodniczej, pozbawione nadzoru, zdane na łaskę nieokrzesanych gości, deptających trawniki, zsuwających brzegi i stoki, łamiących drzewa i krzewy, psujących ławki i żelazne podpory. Obojętnym jest zarząd miasta na wszelkie usuwiska i urwiska nad brzegami Dniepru. Nie czyni on nic w celu powstrzymania niszczącego żywiołu, zagrażającego pięknym budowlom i monumentalnym nadbrzeżnym gmachom. Cóż dziwnego, iż różne katastrofy są tamże na porządku dziennym.

Niezwykłe wrażenie czynią na przybysza bezdomne psy, chude, nędzne kreatury z najeżoną sierścią, pełne liszajów i wrzodów, tworzące wzorem Carogrodu odrębne grupy uliczne.

Blizsza styczność z nimi niebezpieczna, z powodu grasującej silnie wścieklizny. Wszakże w r. 1915 leczyło się w instytucie bakteriologicznym Kijowa przeciw wodowstrętowi 1111 osób.

Do specyalności miasta należą bezpańskie gromady i stada gołębi, żerujących po mieście, nie cieszących się atoli taką opieką ludności, jak ich pobratymcy w Krakowie lub Wenecyi.



Józef Białynia Chołodecki z synem Olgierdem,
podczas zimowej promenady na górze św. Włodzimierza w Kijowie.

Widząc mnie, sypiącego gołąbkom systematycznie i codziennie karmę w postaci okruch, zbieranych w pensyonacie, dziwili się przechodnie trosce o stworzenia, które ani nie są moją własnością, ani nie przynoszą mi żadnej korzyści.

Jakiż to samolubny punkt zapatrywania!

Wstrętnym jest obraz rozwielnionego żebractwa po trotuarach Kijowa. Na pryncypalnych ulicach rozkładają swe obrzydliwe łachmany istoty, pochylone nad miseczkami lub czapkami,

do których zbierają obfite datki. Wielu z tych żebraków, to tylko nicponie, odczuwający niechęć do pracy, udający chorobę lub kalectwo. W r. 1916 sprowadzono do cyrkułu w celu stwierdzenia tożsamości osoby żebraczkę, rodem z Pińska. Przy rewizji znaleziono u niej: bilonu na 112 rub., 80 kop., dalej 10 funtów monet miedzianych, 3 funty marek wymiennych, biletów kredytowych zaś na sumę 1410 rub., w końcu monet złotych na sumę 2165 rubli. Wieluż to ludzi ciężko pracujących zazdrościło jej tak obfitego plonu — żebraniny. W Kijowie niema zakładów przymusowej pracy, nie ma zakładów dla nieuleczalnie chorych.

Wiele, bardzo wiele, dałoby się w ogóle snuć opowieści na temat tamtejszych stosunków, na temat niedomagań, na temat urzędzeń, nieodpowiadających wcale stanowiowi rozległego miasta, mającego pretensję do zaliczania je w poczet wielkich światowych zbiorników ludności. Opowieści takie nie leżą jednak w programie niniejszych mych wspomnień; pomijam je więc milczeniem.

Nadeszła jesień r. 1916, szara, ponura jesień, dla nas wygnańców tem bardziej ponura, iż bez promyka nadziei wybawienia. Chłodne poranki z przymrozkami, nie zachęcały do spacerów po górze św. Włodzimierza, skierowały nas natomiast do wnętrza kościoła św. Aleksandra, gdzie mogliśmy, odchodząc po nabożeństwie do domu, wymienić kilka słów koleżeńskie pogawędki.

Eviva! zawołałem, wyczytawszy w „Dzienniku kijowskim“ z 7. listopada 1916 r. wieść o proklamowaniu niezawisłego państwa polskiego. Ileż to pogodnych myśli, ile błogich nadziei, ile radości napełniło serce moje. Pod innym też, niżli poprzedniego roku wrażeniem, łamałem się z kolegami opłatkiem wigilijnym. Obchodziłem po dwakroć tę uroczystość, raz w mniejszem gronie towarzyszy, zaproszonych do gościnnego domu Szymonostwa Suskich, drugi raz w t. zw. „Stołówce dla inteligencji“, stworzonej dla nas zabiegami i sumptem gorliwego opiekuna naszego Józefa Kimajera, ongi lwowianina, dziś zasobnego obywatela grodu Kijowa. Zamiast wzajemnych życzeń i przemówień podniesiono, odczuty głęboko przez wszystkich, jeden okolicznościowy, patryotyczny, rymowany toast na pomyślność Polski, układu dr. Dunikowskiego, w umiejętnej interpretacji Jana Halikowskiego.

Długo wlokła się ciężka, mroźna, śnieżna zima r. 1916/17. Stepowe wichury dały odczuć dotkliwie swe tany mieszkańcom Kijowa. — Rozpoczęło się od gołoledzi, poczem nastąpiła epoka silnych mrozów, głębokich śniegów i dojmujących zamieci. Odczuwaliśmy tem bardziej przewlekłą zimę i spóźnioną wiosnę, iż nie dysponowaliśmy środkami materyalnymi, ciepłem odzieniem i opałem, iż ceny wiktuałów wzrastały z niepomiarłą szybkością.

Przeczuwaliśmy przytem, iż zbliża się donośna chwila dziejowa, iż horyzont zaciemniają czarne chmury rewolucyi.

Nadszedł dzień 12. marca r. 1917, dzień olbrzymiego przełomu w dziejach Rosyi...

ROZDZIAŁ VII.

PO MARCOWEJ REWOLUCYI. — PRACE ORGANIZACYJNE NA RUSI. — NABOŻEŃSTWA I OBCHODY NARODOWE. — WYŻSZE KURSA NAUKOWE. — MORDY I POŻOGI NA ZIEMIACH KRESOWYCH. — WALKI W ULICACH KIJOWA. — RZĄDY UKRAIŃSKIE. — ZWYCIĘSTWO BOLSZEWIKÓW. — REPRESSYE. — BRAK ŚRODKÓW DO ŻYCIA. — TRZECIA WIGILIA. — CENY WIKTUAŁÓW. — ROZSTRÓJ NERWOWY.

Nie pozostał Kijów na polu pracy rewolucyjno-organizacyjnej poza Piotrogradem, Moskwą i innemi miastami państwa rosyjskiego, a tamtejsza Polonia odbyła już w dniu 19. marca 1917 r., naradę licznych przedstawicieli zrzeszeń, stowarzyszeń i instytucyj społecznych i stworzyła własny „Komitet wykonawczy“, który zapoczątkował płomienną odezwą swoją samodzielną akcyę.

Manifestacye płynęły za manifestacyami, pochody za pochodami, a zawsze przy dźwiękach „Marsylianki“, „Pieśni legionów“ i pieśni „Boże coś Polskę“, których echo muskało lodowate fale Dniepru.

W dniu 5-go kwietnia 1917 r., odbyło się w kościele św. Mikołaja nabożeństwo, za wszystkich „poległych za wolność Ojczyzny“, począwszy od rycerzy Barskich, aż do tych, którzy w obecnej wojnie złożyli dla Polski swój żywot, w dwanaście dni później miała miejsce pierwsza msza gr. kat. obrządku, w murach rzym. kat. kościoła św. Aleksandra, w dzień Bożego Ciała zaś wyruszyła, po półtrzeciawiekowej przerwie, uroczysta procesya przez ulice Kijowa i wywołała potężne wrażenie także i wśród innowierców.

Uroczu przedstawiały się miejscowym rodakom obchody narodowe, pierwsze tego rodzaju, nie krępowane żadnymi „ukazami“ obchody: „Dzień trzeci maja“, „Rocznica Grunwaldu“, „Dzień 5. sierpnia“ i t. p.

Pod wpływem religijnych swobód począł zwiększać się wydatnie poczet wyznawców rzym. kat. kościoła. Obok prawosławnych, zgłaszali się także Żydzi.

Spełniłem i ja — w dniu 25. sierpnia 1917 r., — obowiązek chrzestnego ojca dorosłej osoby, nauczycielki publicznych szkół Galicyi, Zofii **, która korzystając z pobytu na wygnaniu, zdala od rodziny, przystąpiła do zmiany wyznania. Chrzestną matką była Adela Suska, obrzędu religijnego dokonał zaś uwolniony niedawno z więzienia, braniec z Tarnopola, ks. Ignacy Miszkiewicz T. J. Nazajutrz urządzili Szymonostwo Suscy dla nas przyjęcie w willi, położonej na przedmieściu obok fabryki betonów i asfaltów, stanowiącej ich własność.

Już to wogóle cieszyłem się sympatyą i życzliwością kresowych ziomków, a sympatya ta słodziła mi niejednokrotnie chwile wygnania. Miłym objawem były w tym kierunku np. wiązane słowa gratulacyi, jakie otrzymałem, na pudle torta, w dniu mych imienin (19. marca) 1917 r.

„Jakkolwiek w obcym kraju, — w obcej niby strefie,
Masz tu ludzi życzliwych... tak panie Józefie!
Z głębi serc więc przyjaznych, składamy życzenia,
U takich jak my niewiast *multum* powodzenia,
By Ci niosły słodczye niebawem Lwowianki,
Z takim szczerem uczuciem, jak my Kijowianki...”

Henryka Doliwa Głębocka, Amalia Rawicz Grabowska,
Marya Szreniawa Żmigrodzka, Stanisława Poraj Trzebińska,
Zofia Ślepowron Sokołowska, Franciszka Gozdawa Osuchowska,
Janina Lubicz Dołnerowa, Halina Doliwa Głębocka,
Wacław Doliwa Głębocki.

Nie krępowane na polu swobodnego zrzeszania się, popłynęło rażno społeczeństwo polskie w kierunku asocjacyi i stworzyło potężnym odruchem cały szereg nowych instytucyj i stowarzyszeń.

Jednym z pierwszych projektów, jaki powzięła kresowa Polonia, była myśl utworzenia w Kijowie „Wyższych kursów naukowych” zawiązku polskiego uniwersytetu na Rusi. Skrystalizowana, przeistoczona w czyn, w obliczu przewrotu, w odmęcie zdarzeń, przy ponurem świetle łuny wojennej, zgromadziła szerokie koła rodaków na doniosłą w życiu kulturalnem i narodowem ziem ukraiennych, uroczystość inauguracyjną, na dostojne święto polskiej nauki.

Jakżeż radowało się serce moje, gdy jako zaproszony gość usłyszałem pierwszy, inauguracyjny wykład dra Dunikowskiego: „O obliczu ziemi polskiej”, gdy po długich, a ciężkich dziesięcioleciach, od czasu zamknięcia Liceum Krzemienieckiego i usunięcia ostatnich profesorów Polaków, z katedr Uniwersytetu kijowskiego, rozbrzmiały tutaj znowu słowa nauki, w ojczystym wygłoszone języku. *Quod felix, faustum, fortunatumque sit!*...

Drugą instytucją, która najbardziej pociągała mnie ku sobie, było „Polskie Towarzystwo nad zabytkami przeszłości”. Wstąpiłem tamże jako członek i uczestniczyłem w zebraniu organizacyjnem. Nie obojętnym mi był też pierwszy, a potężny „Zjazd kobiet polskich” (15. i 16. maja 1917 r.), reprezentowany przez wszystkie umysłowe i społeczne ich warstwy, to też nie omieszczałem dostarczyć nieco szczegółów do odczytu, wygłoszonego przez jedną z referentek spraw przemysłowo-gospodarczych.

Założenie nowego czasopisma „Gazety narodowej“ (kijowskiej) nastroczyło mi sposobność do nakreślenia tamże artykułów na temat: „Ustroju szkół polskich na Rusi“. Niestety, zmienne stosunki i nowe krwawe kataklizmy na obszarach „Zabrzanych prowincyj“ dawnej Rzeczypospolitej, położyły kres istnieniu tegoż dziennika, a także i mej dalszej publicystycznej współpracy.

Na porządek dzienny weszły kwestye: pokoju między rewolucyjną Rosyą a mocarstwami centralnemi, akt przemocy, bezprawna konfiskata ziemi polskiej, uchwalona przez Radę ukraińską, rozdzwiek i rozdziwienie, niezgoda i starcia w łonie polskiego społeczeństwa na emigracyi i wśród rodaków, zamieszkujących kresy wschodnie, różnica w poglądach na charakter i znaczenie aktów listopadowych z punktu interesu narodowego, hasło posiadania własnej armii, nie tylko w kraju, ale i na obczyźnie, ciężkie, tragiczne przejścia formowanych na obszarach Rosyi, polskich oddziałów, i stosy ofiar „kolizyi obowiązków“, ponad których cieniem unoszą się słowa Maryi Rodowiczowej:

„Każdy z nich wspólną przyszłość kuł,
Dłońmi okrwawionemi,
Dziś mają wspólny bratni dół,
Na swej ojczystej ziemi“...

Pracom organizacyjnym ziem ukraińnych towarzyszyły gwałtowne przejścia, krwawe sceny i awantury. Z każdym dniem wzrastał anarchizujący rozstrój. Rozwydrzone żywioły, amnestyonowani kryminaliści organizowali bandy, rabowali, tłumili, zabijali każdego, kto im stał tylko na drodze. Na podłożu drożyzny, na podłożu braku żywności, na podłożu rekwizycyi zboża, grasowały dyszące mordem i rabunkiem olbrzymie hordy, gorsze pod względem grozy czynów od aktorów wiekopomych wypadków r. 1846. W łunie pożarów i strugach krwi bezbronnych, tonęły Podole, Wołyń, Ukraina. Teroryzm, pogromy, grabieże, gwałty, samosądy, tortury i mordy, oto cykl zbrodni, jakich byliśmy świadkami w ostatnich miesiącach naszego pobytu w Kijowie.

Z murów ratusza padło nawoływanie, by każdy dom w mieście przekształcił się, dla bezpieczeństwa mieszkańców, w fortecę... Przerażeni, przystąpiliśmy do organizacji samoobrony, do zawiązywania domowych komitetów. Jakkolwiek wydany przez magistrat regulamin, normujący wiek członka samoobrony tylko do 60 roku życia, uwalniał mnie od uciążliwej służby nocnych wart i posterunków, zgłosiłem się dobrowolnie do spełniania obywatelskiego obowiązku i wytrwałem, aż do ostatniego dnia przed wyjazdem moim do kraju.

W dniu 10. listopada r. 1917 zawarły w Kijowie zażarte boje pomiędzy bolszewikami i Ukraińcami z jednej, a Rządem tymczasowym, z drugiej strony i pochłonęły znaczną liczbę ofiar

także i z pośród cywilnej ludności miasta. — Kamienicy, w której mieszkalem, groził wtedy specjalny pogrom i rabunek na skutek nawoływań chciwych grabieży, czarnych charakterów, iż z domu tego, zamieszkałego przez „burżujów“, padły strzały i zabiły stojącego przed bramą żołnierza. Cudem tylko uniknęliśmy katastrofy.

Po kilkudniowej krwawej rozprawie odeszły rządowe wojska z miasta, a pomiędzy pozostałymi panami placu boju, pomiędzy niedawnymi sojusznikami, powstał rozłam, nastąpiły gwałtowne starcia. Leader bolszewików Leonidas Piatakow wydał ostrą odezwę, skierowaną przeciw Ukraińcom — i zginął bez wieści. Trupa jego wyłowiono ponoś z pod lodowej skorupy Dniepru.

Dnia 29. stycznia r. 1918 odpowiedzieli bolszewicy zajęciem kijowskiego arsenału i bombardowaniem miasta. Przez dwa blisko tygodnie trwały nieprzerwane boje piechoty, artylerii, wojsk regularnych, Czerwonej i Białej gwardyi, Wolnego kozactwa, milicyi, wypuszczonych lub zbiegłych z więzień kryminalistów i oddziałów ochotniczych i napępiały dniami i nocami mury grodu hukiem dział, świstem i trzaskiem bomb i szrapneli, chrzęstem kulomiotów, palbą ręcznej broni, łomotem walących się murów i zapadających dachów mieszkalnych. W mieście ustała wszelka komunikacja. Sklepy pozamykane, biura puste, pomieszkania zewnętrzne opróżnione, natomiast klatki schodowe pozapełniane taborami wystraszonych lokatorów. Martwe wodociągi, martwa instalacja elektryczna, ciemnia po mieszkaniach, głód z powodu braku wiktuałów, orgie rzezi-mieszków, grabieże domów i sklepów, a po wyludnionych ulicach, zaczajone pod osłoną mroku, przytulone do węglów kamienic, do odrzwi i schodów sklepowych, postacie żołdackie, z gotowem do strzału karabinami w dłoni i leżące po ziemi trupy ofiar bratobójczej walki. Jak potężnem było żniwo śmierci wśród cywilnej ludności stwierdza fakt, że w dniu 7. lutego r. 1918 odebrało samo prosektorium 53 zabitych. Do lazaretu przy ulicy Rejtarskiej odstawiono 52 rannych, między nimi 9 kobiet. Stacja ratunkowa opatrywała 83 rannych, przy 33 poległych. W innych dniach naliczono 332 ranionych, w tem kobiet 97, dzieci 28, zabitych zaś 196, w tem kobiet 31, dzieci 11. Nie rzadkiem zjawiskiem były trupy odarte przez apaszów, zwanych tamże *żulikami*. Nagie prawie leżały całemi dniami niepogrzebane, obok nich konie i psy uliczne. Wieczorne czasopisma z 15. lutego r. 1918 przyniosły surowy rozkaz rządu bolszewickiego, wystosowany do Magistratu, a dotyczący natychmiastowego uprzątnięcia trupów, leżących od czasu bojów, po ulicach, a to pod grozą dotkliwej grzywny.

Straszniejszemi od samych walk były represye, stosowane przez bolszewików po wyparciu wojsk ukraińskich z Kijowa. Po ulicach kroczyły patrole „Czerwonej gwardyi“ i marynarki, wpadały do publicznych lokali i prywatnych pomieszek, zatrzymywały oficerów, żołnierzy i podejrzone im cywilne osoby,

przeglądały legitymacye, aresztowały, a także rozstrzeliwały na miejscu, doraźnie pod pierwszym lepszym murem. Więzionych Polaków trzymano w gmachu Miejskiej opery przy ulicy Wielkiej Włodzimierskiej. Wyroki wydawała w dawnym pałacu carskim kobieta bolszewiczka, żydówka, nazwiskiem ponoś Brosz, członek miejscowego rządu, zawiązanego w Charkowie. W okół carskiego pałacu rozciągają się publiczne ogrody, tam to wykonywano doraźne wyroki śmierci na przygotowanym z góry pomoście. Odarzte z odzienia trupy wrzucano nago setkami do wspólnego grobu. Lała się krew strumieniami, wśród głębokich jęków rżących na ziemi ofiar, wśród wycia mroźnego stepowego wichru, płynącego z Zadnieprza, z głębi Czernichowskiej dzielnicy. Szumiał on i świstał donośnem echem po drzew konarach, po załomach i zakątkach kamienic i domów, jęczał niby błagalny głos i lament poległych i pomordowanych. A liczbę ich określano na 16.000 wojskowych i 1.200 głów cywilnej ludności. Do ofiar z szeregu cywilnej ludności należał siedmdziesięcioletni starzec metropolita Włodzimierz. Kilku sprawców srogiego, dzikiego aktu, wtargnąwszy do jego pałacu w Peczerskiej Ławrze, kazalo mu — jak nam opowiadano — wdziąć cenne szaty pontyfikalne, nasadzić na głowę mitrę, zdobioną drogiemi klejnotami, dar cara rosyjskiego, i iść w tym stroju tylną bramą wjazdową nad brzeg Dniepru. Tutaj wykonano na nim, wydany samosądem wyrok śmierci, a rzeczy zabrano jako swoją własność.

Do szeregu pomordowanych należeli z grona Polaków jak niosła wieść: Antoni Borkowski, Sokolski, Antoni Grzybkowski, Leon Walicki, Zabłocki, Zaleski, Sawicki, Władysław Trzebiński, Bolesław Suszczyński i R. Rembieliński z Kutnowskiego. Gdy ojciec tego ostatniego nie żałując męki, upokorzenia i olbrzymich wydatków, uzyskał pozwolenie na odebranie zwłok syna i pracował przez trzy dni na miejscu, przy pomocy sowiecie wynagradzanych robotników, przerzucających stosy nagich trupów, był świadkiem potwornej frymarki, jaką wiodli bolszewicy życiem pojmanych. Zwracali ich za złożeniem wydatnego okupu zrozpaczoným rodzinom, po jednym lub dwu dniach chwyтали atoli znowu w swe szpony i poraz wtóry targowali się o cenę.

Wśród tych strasznych dni, piekielnych iście orgii rozbestwionych mas zbójceckich, byłem i ja narażonym niejednokrotnie na niebezpieczeństwo. Ileż to razy, odwiedzając mieszkającą razem z dziadkami Karwowskimi przy ulicy zwanej „Czachowskim zaułkiem“, rodzinę moją, lub poszukując środków do zaspokojenia głodu, znalazłem się w rejonie obstrzałów zmagającego się żołdactwa, ileż to razy ujrzałem się, mimo wszelkiej przezorności, otoczonym nagle roznamiętnionym tłumem, włokącym pod sąd lub na miejsce stracenia, pochwythane ofiary. Przyciskałem się w pierwszych wypadkach pod mury kamienic i szukałem w ten sposób dla siebie ochrony, w innych wypadkach szedłem znów zwolna, ciągnąc niby za sobą nogi, gdyż niezłą obroną był wówczas włos biały

i starcza bezsilność. Sędziwych ludzi nie zaczepiano tak pocho-
pnie, a kierowano całą namietność, głównie przeciw młodym,
pełnym sił mężczyznom.

W jednym wypadku, przy ulicy Funduklejowskiej, gdzie
mieścił się sztab zwycięskich oddziałów bolszewickich, nie tylko
że dozwolono mi, bez wszelkich trudności, przeciskać się przez
rozgorączkowane tłumy, ale co więcej kazano im nawet ustę-
pować z drogi.

— „Ustąpcie się“ — wołał jakiś starszy czerwonogwardzi-
sta do swych podkomendnych — „czy nie widzicie, że idzie
jakiś staruszek i niesie paczkę uzbieranych wiktuałów“.

Dziwny to zaprawde, objaw względów, dla starości, w głębi
krwiożerczego instynktu, zdeprawowanego osobnika! Mało kto
bowiem z czytelników ma wyobrażenie o tem, czem jest skrajny
bolszewizm, jak wygląda tegoż panowanie, negacya wszelkiego
prawa, wszelkiej swobody, wszelkiej kultury.

Pewnego dnia wpadła wieczorem rewizya do naszej ka-
mienicy. Wyszedłem naprzeciwko jawiącego się w przed-
pokoju żołdaka i rozpocząłem z nim spokojną rozmowę. Przy-
jęty grzecznie i bez objawów trwogi, skierował po chwili w inną
stronę swoje kroki. Przeprowadzono tymczasem rewizyę u mie-
szkającego w tym samym domu lekarza dr. I. Soszczyna i ogra-
biono go przytem z gotówki. Innym razem, gdy wpadli bolsze-
wicy w celach rewizyi w mej nieobecności, do pokoju, i dowie-
dzieli się, że ten pokój zajmuje, starszego wieku, austriacki
poddany-zakładnik, ujrzeli w dodatku wiszącą na ścianie, stwier-
dzającą wiek, moją podobiznę, ołówka artystki-malarki Olgi
Przyszychowskiej, wycofali się bez żadnych trudności i podążyli
w dalszą drogę.

Kilkumiesięczne nerwujące przejścia i wypadki oswoiły
mnie ostatecznie do tego stopnia z położeniem, iż nie reagowa-
łem wcale na okalające mnie niebezpieczeństwa — byłem na
wszystko zdecydowanym. Gdy wśród głębokiej nocnej ciszy
usłyszałem nagle — stojąc na posterunku u bramy kamieni-
cznej — pękającą przed tą bramą bombę, nie straciłem bynaj-
mniej równowagi umysłu, nie drgnąłem nawet pod wpływem
niespodziewanego zjawiska. Przyjąłem je tak samo obojętnie,
jak echo kul karabinowych, sypanych, niby groch, na ściany
kamienicy, jak uderzenie szrapneli i łomot spadającego odłamka
murów. Kładłem się spokojnie do snu, a zbudzony strzałami
lub trzaskiem szrapnela, zasypiałem na nowo.

Nie lada troską nabawił mnie tymczasem brak środków
materyalnych i wznagająca się w gwałtownem tempie orgia
drożyzniana. Duński konsulat, który wypłacał nam, zakładnikom,
od jesieni r. 1916 drobną sustentacyę po 10 rubli miesięcznie,
na rachunek rządu austriackiego, oświadczył nam niespodzie-
wanie, iż, gdy pobieramy pożyczone raty z banku po 120 rubli
miesięcznie, musi, w myśl otrzymanej instrukcyi rządu austria-
ckiego, powstrzymać dalszą wypłatę owych dziesięciurublowych

zasiłków. Było to zarządzeniem sekretarza ekspozytury duńskiego konsulatu, zarazem zastępcy ewangelickiego proboszcza w Kijowie, niejakiego Jungra, a czy polegało na błędnej interpretacji rozporządzenia, czy na samowoli nie jest mi znanem. To jedno jest faktem, że gdy w parę miesięcy później, na skutek zarządzenia duńskiego konsula w Odessie, ustąpili z biura ekspozytury tak Junger, jak i tegoż zausznik F. Ditrich, mieniący się oficerem austriackim, lecz fatalnie u tego rządu zapisany, oświadczył mi nowy współpracownik w konsulacie Franciszek Lauenhardt, iż rząd austriacki nie tylko nie wstrzymał zasiłków, ale je nawet wobec ogólnej drożyzny podwyższył. I rzeczywiście wypłacano mi niebawem wszystkie zaległe raty w wyższym wymiarze.

Z końcem grudnia r. 1917 ustało zobowiązanie Banku krajowego do wypłacania nam miesięcznych rat po 120 rubli, tak że ujrzałem się nagle pozbawionym wszelkich, nawet skromnych zasobów do życia. Byłem zniewolony chwycić się jedyne- go środka tj. wzmożonego zaciągania prywatnych długów. Liczyłem przytem w przyszłości, na pomoc ze strony mych dzieci, pozostałych w kraju. Ażeby im ułatwić spełnienie tego zadania, posłałem był jeszcze w lecie r. 1916 legalizowane pełnomocnictwo, upoważniające mego syna Zdzisława do podjęcia należnych mi po koniec września 1916 poborów emerytalnych. Syn wniósł odnośne podanie do Krajowej Dyrekcyi skarbu, otrzymał atoli odmowną rezolucyę z czysto formalnych powodów, „gdyż” — opiewała odpowiedź — „emerytura winna być, wedle przepisów, wypłaconą do własnych rąk pensjonisty”. Dopiero na skutek rekursu do Ministerstwa skarbu, nadeszła przychylna decyzja, zakomunikowana synowi następującej treści rezolucyą:

„L. 87931 ex 1918. Wskutek upoważnienia Ministerstwa skarbu poleca Krajowa Dyrekcyja skarbu swemu Departamentowi rachunkowemu, aby przekazał do rąk Pana zaległe raty pensyi ojca Pańskiego Józefa Chołodeckiego emer. dyrektora rachunkowego Dyr. poczt i telegr. za czas od ostatniego pobrania po koniec września 1916 po potrąceniu tak zwrotów rządowych, w szczególności zaś pobranych na rachunek tej pensyi rat zaliczek jak i należności prywatnych*). Zarazem oznajmiło Ministerstwo skarbu, że dalsze raty pensyi mogłyby być przekazane przez bank w drodze dyplomatycznej i za potrąceniem przypadającej należności przesyłkowej, wprost do rąk ojca Pańskiego, a to na podstawie kwitu przez niego własnoręcznie podpisanego i potwierdzonego co do życia przez organ jego miejsca zamieszkania (gminę, urząd parafialny lub policyę). Lwów 27. stycznia 1918. *Prochaska* m. p.“

Wiele, bardzo wiele uwag nasuwa na myśl powyższy wypadek i treść uwiadomienia władz skarbowych. Z tych dwie

*) Ustęp ten dotyczy zaliczek, wypłacanych urzędnikom na skutek za-
inawgurowanej przezemnie akcji — ze strony konsorecyum banków i miasta
Lwowa.

tylko podnoszę okoliczności: po pierwsze, iż przeprowadzenie pojedynczej sprawy wymagało aż półtora roku czasu i całego szeregu zabiegów, a nawet osobistej interwencji mego syna Witolda w Ministerstwie skarbu, powtóre, iż proceder normowany przez władze skarbowe przy ewentualnej wysyłce dalszych rat pensyjnych byłby połączony, w najlepszym razie, z półroczną przynajmniej zwłoką, trzy miesiące bowiem szły w najkorzystniejszych warunkach listy i karty koresp. z Kijowa do Lwowa, trzy miesiące zaś odpowiedzi na te listy i karty, nie licząc czasu, niezbędnego do urzędowego załatwienia sprawy. Jest to jedna próbka osławionego biurokratyzmu austriackiego. Na szczęście powróciłem do kraju, i mogłem odebrać osobiście, na miejscu, przypadające mi należitości. Tymczasem otrzymałem przez bank od dzieci czterokrotne posyłki pieniężne, z ich własnych pokrywane funduszków.

Niepomierne, a gwałtowny wzrost ceny artykułów spożywczych, rozpoczął się już w r. 1916 i doszedł w rok później do takich rozmiarów, że wyprowadzał zamożnych nawet ludzi, z równowagi finansowej.

— Wydałam na wieczór wigilijny dla mej rodziny, złożonej z czterech osób, 450 rubli — rzekła do mnie jedna z zasobnych kijowianek — a pomimo tego nie miałam właściwie czem zastawić stołu.

Cóż dziwnego, że wobec takich stosunków zapisałem w mym dzienniku pod datą 24. grudnia r. 1917 następującą refleksję: „Dzisiaj dzień wigilijny — dla mnie dzień ciężkiego zawodu. Marzyłem, roiłem, iż przełamie się już opłatkami z rodziną i przyjaciółmi, we Lwowie; miast tego dalsza, gniotąca niewola. Nikt z przybyszów, nikt z brańców nie myśli o wspólnym opłatku. Orgia drożyzniana, troski, zgryzoty, smutki, uniemożliwiają wszelkie, choćby skromne towarzyskie zebrania. Siedzę samotny... przenoszę się myślą w ojczyste strony... łączę się w duchu z moimi w kraju... snuję obrazy upragnionej wolności... Dzień mroźny, lecz pogodny rokuje wedle ojców przepowiedni wczesną, a ciepłą wiosnę. Czyż przyniesie mi ona życzliwie w darze szczęsne chwile?

W papierzanej torebce spoczywa zwykła wieczerza, jaką od półtora przeszło roku sycę codziennie uczucie głodu: jaja, pięć deka twarogu, i dziesięć deka suchego chleba... Do tego herbata z zaparzonych posiomek, oto cała zastawa wigilijna...

— Może wypijemy dzisiaj wspólnie szklanekę herbaty? — zapytuje mnie sąsiadka z pensjonatu, Marya Wąż-Wężykówna, i zaprasza do pokoju wygnańczej rodziny z Królestwa.

Nie mogły powstrzymać się polskie niewiasty, aby nie zaścielić stoliczka białym obrusem i tem „czem chata, bogata“.

Sędziwa babka Alwasowa, obok niej dwie wnuczki Marya i Helena, dalej Żmudzinka, Janina Leliwa Adamowiczówna i moja zgębiona postać, to grono, krzepiące pogawędką i opowieścią,

planami, na temat przyszłego życia ustroju, stargane przejściami siły.

A przez szyby pokoiku, zaziera ciekawie i mruga ku nam gwiazdka z niebosłonu, ta sama, która przed wiekami nad be-
leemską świeciła stajenką, gdy w okół rozbrzmiewał potężny
chór aniołów: „Bóg się rodzi... moc truchleje!...

Witaj nam gwiazdko szczęścia“!...

Rzućmy teraz okiem na inne współczesne zapiski moje, a dowiemy się o cenach jakie pobierały wówczas sklepy za poszczególne artykuły.

Pod datą 15. grudnia 1917 czytamy:

„Dzisiaj żądano za szklankę kawy 1 rub. 20 kop., za szklankę herbaty 70 kop., za jajecznicę z trzech jaj 2 rub. 30 kop., za 40 deka śmietany 2 rub. 50 kop., za 40 deka mydła do prania 3 rub.“

Pod datą 5. lutego 1918 opiewa notatka:

„Wczoraj nie zdołałem zdobyć żadnych wiktuałów na kolację. Musiałem zadowolić się dwoma pierniczkami t. j. całuskami, płacąc po 25 kop. za sztukę. — Dzisiaj rano zakupiłem na dwa dni prowiant, a to: 20 deka bryndzy za 1 rub. 60 kop., 10 deka powideł za 1 rub. Za szklankę rozpuszczonego wodą mleka zapłaciłem 80 kop. Chleba zupełny brak. Moczę w wrzątku suche skórki z przed kilku dni i popijam herbatą z poziomek“.

W dniu 7. lutego 1918:

„Chleba niema. Zdobyłem pod obstrzałami: trzy jaja po 35 kop. za sztukę, szklankę mleka za 60 kop. i 2 pierniczki (całuski) po 25 kop.“

W dniu 12. lutego 1918:

„Z wielkim trudem zdobyłem 10 deka powideł za 1 rub. i trzy pierniczki po 25 kop. Mleka niema, niema mięsa, ani jaj, ani sera. Za protekcyą właścicielki sklepu, w którym biorę zwykle wiktuały, otrzymałem, po kryjomu, kawałek chleba. Wręczono mi go w prywatnem mieszkaniu kupców, z poleceniem, bym go dobrze schował do kieszeni, w razie odkrycia bowiem tej protekcyi, „mogą głodne rzesze zdemolować handel“.

Dość chyba ilustracyi ówczesnego naszego położenia.

Gorzej jeszcze przedstawiało się ono pod względem odzienia.

Rosya, która zaspokajała zawsze potrzeby swoje, począwszy od maszyn, a skończywszy na igłach i niciach, wyrobami zagranicy, ujrzała się rychło po wybuchu wojny w krytycznej sytuacji. To też ceny podniosły się tam, o wiele prędzej, aniżeli w innych państwach i doszły do niezwykłych granic. Już w roku 1917 żądano w Kijowie za zimowy garnitur 800—900 rubli, za koszulę 25—30 rub., za męskie buciki 120—150 rub., za damskie buciki trzy razy więcej. Rozpaczliwem wręcz było wobec tego położenie ludzi, ograniczonych podobnie jak ja, na

skromne tylko środki pieniężne. Nikły zapas odzienia, bielizny, obuwia, z jakim rozpocząłem gospodarstwo po przybyciu, 1915 roku, do Kijowa, wypowiedział mi po dwóch przeszło latach służby, zupełnie posłuszeństwo, to też godzinami całemi spełniałem wedle sił i umiejętności rolę krawca i szwaczki, złorczyłem losowi, który kazał mnie, oddanemu całe życie pracy umysłowej, porać się na starość z nudnem, mechanicznem zajęciem.



Grupa zakładników podczas jesiennej przechadzki w Kijowie.

Od lewej strony: R. Lewicki, F. Schleicher, I. Ludwig, J. B. Chołodecki, ks. J. Czyrek, ks. L. Sopuch, A. Czołowski, A. Beck, J. Schirmer, W. Włodzimirski.

Wśród grozy wojennej, wśród repressyi walczących przeciwników, wśród niedostatku, do niemożliwych posuniętego granic, wśród zaniku sił fizycznych, tęsknoty za rodziną i krajem, wśród dotkliwej bezczynności i nerwującej niepewności jutra, jedyną tylko widziałem drogę wybawienia w rychłym powrocie do domu. Roilem o tem bez przerwy na jawie, a sny moje były codziennie prawie poświęcone obrazom podróży i życiu na dawnym posterunku wśród murów Lwowa. Bolesnem było wrażenie po przebudzeniu się ze snu, a że to bolesne wrażenie należało do zjawisk powszednich, nie dziw, iż po rzeczywistem przybyciu do Lwowa, nie chciałem wierzyć tej rzeczywistości, przecierałem oczy, zapytując sam siebie: „jawa to, czy sennem tylko widziałem“.

ROZDZIAŁ VIII.

ZABIEGI O POZWOLENIE POWROTU DO KRAJU. — WYJAZD NIEKTÓRYCH BRĄNCÓW NA PIOTROGRÓD I SZWECYĘ. — DZIESIĘCIODNIOWA PODRÓŻ SPECYALNYM POCIĄGIEM DO GRANICY. — NA TERYTORIUM AUSTRII.

Stosunki wytworzone marcową rewolucją, zniesienie żandarmów, ochrony, ustąpienie całego szeregu znienawidzonych wykonawców woli srogiego caryzmu, słowem odzyskanie swobód, skierowało w pierwszym rzędzie myśli nasze ku zdobyciu, nareszcie, po tylu doznanych zawodach, pozwolenia powrotu do kraju, przy pomocy posłów i instytucyj, opiekujących się ofiarami wojny.

Komisja likwidacyjna Królestwa polskiego z Aleksandrem Lednickim na czele otrzymała z ramienia Tymczasowego rządu misję przedłożenia wniosków co do ułatwień i ulg w położeniu Polaków, jeńców cywilnych i wojennych, opracowała szereg opstulatów, a te zyskały w pierwszej połowie kwietnia r. 1917 aprobatę naczelnej władzy. W Piotrogradzie przystąpiono do sporządzania wykazów i spisów, powtarzano je kilkakrotnie dla różnych instytucyj, w Krakowie i w Wiedniu padały z trybuny głosy w kwestyi uwolnienia z więzów zakładników, 10. sierpnia r. 1917 zaś zatwierdził Tymczasowy rząd projekt Lednickiego, dotyczący naszego powrotu do domów.

Równocześnie zapowiedziała „Sekcja legitymacyjno-registracyjna Centralnego Wydziału opieki nad Polakami, jeńcami cywilnymi w Piotrogradzie“, zniesienie wszystkich ograniczeń dla Polaków, poddanych austriackich i niemieckich i wydawanie odnośnych dokumentów, co też ogłoszono w urzędowym dzienniku z 16. sierpnia 1917 r., pod § 1006.

Pod tego rodzaju auspicjami odbyliśmy dnia 8. września 1917 r., wspólną naradę w auli „Polskiego gmachu szkolnego“. Narada ta i żwawa dyskusja, obudziły w wnętrzu mojem miłe wspomnienie swobodnych ongi debat w gronie rady miejskiej i w łonie stowarzyszeń.

Wybrano w celu przeprowadzenia sprawy ścisły Komitet z drem Stahlem na czele, a tenże Komitet wysłał do Lednickiego obszerny memoriał, ogłoszony częściowo w łamach kijowskiej „Gazety narodowej“. Memoriał ten wyłuszczał jasno cały przebieg sprawy, kończył się zaś słowami: „Czyż mamy z opadających z ciał naszych łachów zrobić sobie na bruku ulicznym podścielisko i czekać na śmierć głodową? Czyż to był cel naszego przygnania do Rosyi? Czyż to ścierpi rząd, głoszący wzniosłe zasady ludzkości? Czyż za to nikt nie będzie odpowiedzialnym wobec kulturalnego świata?“

Niebawem chwycił duński ambasador w swe ręce przeprowadzenie sprawy, na skutek porozumienia między Austro-Węgrami a Rosyą i wydał odpowiednie zarządzenia.

Otrzymaliśmy też za opłatą trzech rubli, z rąk organizacyi legitymacye t. z. „polskie paszporty“ jako dowód zrównania Polaków, poddanych mocarstw centralnych, pod względem

praw, z obywatelami państw neutralnych, względnie państw z Rosyą zaprzyjaźnionych. Legitymacye te składały się z małej książeczki, oprawnej w blade-różowy karton, z białym orłem polskim na froncie. Moja legitymacya miała numer 9.296 z datą 10. października 1917. Zanim nadeszła, przy kompletnym rozstroju i bezrządzie w państwie, jakakolwiek urzędowa decyzya na skutek naszych podań, nadpłynęły wieści o możliwości wyjazdu z granic Rosyi *via* Piotrogród, Torneo i Szwecya, tudzież o możliwości przekradania się przez słupy graniczne do Galicyi przy pomocy usługnych Żydów i przemysłników. Wielu z moich kolegów niewoli rzuciło się do wyjazdu, jedni na Szwecyę, drudzy na Łuck. Ja nie mając ani sił, ani zdrowia, ani zasobów pieniężnych do odbycia długiej, nużącej, niebezpiecznej w zimie, jazdy, wśród potężnych mrozów i wichrów północy, nie chcąc z drugiej strony ryzykować przeprawy przemytniczej przez kordony graniczne, pozostałem na miejscu i czyniłem zabiegi o uzyskanie legalnego upoważnienia do wyjazdu najkrótszą drogą przez linię bojową. Długo jeszcze musiałem przechodzić całą skalę udręczeń, zanim nadeszła upragniona chwila opuszczenia murów Kijowa. Dopiero w połowie lutego r. 1918, korzystając z chwilowej ciszy na polu walk bratobójczych, chwycił, jak wspomnieliśmy, duński konsulat, jako zastępca interesów poddanych Austro-Węgier, w swe dłonie zrealizowanie, rozpoczętej już poprzednio akcji, w celu wysłania zakładników i innych branców z granic Rosyi. Na wieść o tem podjąłem i ja propagandę w kołach znajomych, w celu zebrania jak największej liczby kandydatów do podróży, a córka moja Janina, obchodząca z upoważnienia konsulatu, mieszkania ziomek, informowała ich o stanie sprawy i gromadziła podpisy chętnych do wyjazdu. Wielką zasługę położył w organizacyi transportu, ewangelicki proboszcz Lauenhardt. Chętnych nie brakło. Dla niektórych niezbędną była jednak pomoc i opieka ze strony doświadczeńszych. Jadwigę Gozdecką, córkę lekarza, wywiezioną w r. 1915 ze Lwowa do zakładu bakteriologicznego w Kijowie, wskutek pokąsania przez psa wściekłego, nie chciano wziąć na listę podróżnych, gdyż nie była przymusową branką w właściwym tego słowa znaczeniu. Zwróciła się do mnie o interwencyę i przyjechała, na jej skutek, razem z nami do Lwowa.

Oznaczono ostatecznie do wyjazdu dzień 21. lutego r. 1918 godzinę 10 rano i złożono w tym celu specjalny pociąg sanitarny z wagonów szpitalnych, zwykłych i t. z. „ciepluszek“ tj. opalanych wagonów towarowych. Dla kilku protegowanych osób obojga płci dodano wagon wyższej klasy. Lekarka, felczer, sanitariusze — przeważnie Polacy z Królestwa — dla obsługi i straży, dalej apteka, w końcu kucharz z pomocnikami, wchodzili w skład urzędowego personalu. Wicekonsul duński z Odessy A. Sliben i wspomniany już powyżej sekretarz konsulatu, Junger, jako zastępca rządu szwedzkiego i opiekun poddanych niemieckich, towarzyszyli osobiście podróżnym. Ten ostatni jechał do

swych rodzinnych stron do Rygi. Do apelu stanęło około 550 pasażerów, obojga płci i różnego wieku, począwszy od ośmiesięcioletnich niespełna, starców, aż do niemowląt, zrodzonych w niewoli, tulonych przez matki do zboląłych piersi.

Obok lwowskich zakładników, Kędzierskiego, Dunikowskiego, Święckiego, Lewińskiego i mnie, obok zakładników innych miejscowości Galicyi, jak ks. Postrzychacza, ks. Widackiego, ks. Cegielskiego, Wojtowicza, Brennera-Flammenberga z rodziną, Gürtlera, Borzemskiego, Zyborskiego, Stebelskiego, zajęli w wagonach miejsca austriacycy oficerowie Weissmann-Zawidowski, Ambros-Rechtenberg, Karge, Götter*), Selzer, Ludwik Ryck, Minasowicz, Poźniak, Chwojka, Dziedzic, Hlebowski, dalej cywilni brańcy ks. Kuncewicz, ks. Kozaczewski, Gruszecki, dr. Sołtysik, księża Lubienieccy, ks. Honorski, Emil Piotrowski, dr. Głuszkiewicz z rodziną, moje dzieci z matką i dziadkami Karwowskimi, siostry Chodorowiczówny z babką Eichlerową, art. dram. Michał Tarasiewicz z rodziną, dyr. teatru Bolesław Szczurkiewicz z żoną, Józef Wczelak, rodzina Kamienobrodzkich, Alfred Sęgin-Juchnowicz, Michał Rzepecki, ks. Klein, ks. Kapczan, Gozdecka, urzędnicy lwowskich banków — Trzeciński, Muszkiet, Wittenberski i w. i.

Wilgotny poranek z śnieżnym opadem towarzyszył odjazdowi ofiar wojny. Od wczesnej godziny dążyły rzesze z tobołami pieszo, tramwajami, platformami i dorożkami na dworzec towarowy, płaciły za wehikuły wysokie honoraria byle tylko stanąć rychło u mety i zdobyć miejsce w pociągu. Za jednokonkę uiszczano 12—15 rubli, za platformę pod rzeczy 20 rubli, służbie za pomoc i ułatwienie również po rubli kilkadziesiąt. Wśród gwaru, chaosu, rwetesu upływały godzina za godziną, aż wreszcie około szóstej wieczorem, z ośmiogodzinnem więc spóźnieniem, wyruszył transport w drogę. Zwolna posuwał się pociąg po pustych obszarach, zabierając po drodze nadprogramowych podróżnych, jeńców wojennych, którzy umykając w tysiącznych zastępach z granic Rosyi, obsadzali sobą platformy, stopnie i dachy wagonów, niepomi na przykrości jazdy i niebezpieczeństwo katastrofy.

Po małych stacyach życie zaumarło.

W Koziatynie, węzłowej stacji, nastąpił długi, zdało się nam, bezkresny postój, trwał całe dwa dni i dwie noce. Konsulowie konferowali z radą robotników i żołnierzy, nie mogąc dojść do rezultatu, któredy, wobec wkroczenia wojsk niemieckich, skierować transport: na Brody, czy też na Podwołoczyska. Wybrano ostatecznie ten drugi kierunek. Ułatwiła niemało konsulom ich zadanie, jadąca z nami żona ros. pułkownika, Samarytanka, Olga Jerońska. Nieprzygotowani do tak długiej podróży, natłoczeni ponad miarę w zamkniętych wozach — w naszym, siedziało obok mnie, 50 blisko osób — poczęliśmy

*) Odebrał sobie niebawem życie pod wpływem rozstroju nerwowego.

rychło odczuwać brak jadła, ruchu i spoczynku. Dym i odór „machorki” zatrzymywały powietrze, powodowały ból głowy. Spałiśmy, a raczej nie spali wcale, męczyli się tylko na podłożu pakunków, umieszczonych w trzech kondygnacjach drewnianych półek wagonów.

Na ziemi Podola, odbywaliśmy znów trzykrotnie niezwykle długie postoje w Żmerynce, Płoskirowie, zwłaszcza zaś w Wołoczyskach, skąd nie chciała rada żołnierzy wypuścić pociągu do Podwołoczysk. Daremnymi były konferencje konsulów. Położenie nasze zaczynało być groźnem, rozeszła się bowiem wieść, iż „Austriacy wywożą grube pieniądze z Rosyi”. Już podczas drogi paraliżowała straż pociągu dwukrotnie włamanie się pod osłoną nocy do wozów. W Wołoczyskach spotęgowała się wieść o zamierzonym masowym napadzie. W ciągu całej zresztą drogi padały w okół karabinowe strzały, dowód animuszu rozprószonych po kraju sałdatów. Uzbrojeni w karabiny i amunicję, ćwiczyli się w zabijaniu wron i w salwach „*na vivat*”.

Po długiem, denerwującym wyczekiwaniu, otrzymaliśmy nagle o 7 godzinie rano rozkaz, bezzwłocznego wyładowywania rzeczy z pociągu do stojących przed dworcem w Wołoczyskach chłopskich zaprzęgów i odjazdu do odległego o 2 wiorsty granicznego mostku na Zbruczu.

— „Konsulowie wynajęli już dla siebie zaprzęgi” — komunikował nam poseł i wywołał tem formalną panikę. Płacąc po 15—20 rubli za te dwie wiorsty dojazdu do granicy, ujrzeliśmy się wreszcie przed obliczem austriackich straży pogranicznych. Chłopi zrzucili z wozów nasze toboły i podążyli z powrotem do Wołoczysk.

— „Zabierajcie czem rychlej wasze pakunki na drugą stronę mostu, gdyż nie ręczymy za napad i rabunek” — zawołał jakiś starszy reprezentant bolszewików i spowodował znowu przerażenie. Kto żyw, rzucił się do przenoszenia, wleczenia lub też przetaczania kufrów, koszu i zwojów.

Na rynku w Podwołoczyskach, wśród grzęskiego błota, składali brańcy, w stosy, resztki uratowanego po kilkoletniej niewoli, ubożego mienia, resztki łachmanów, ocalonych od rabunku. Znakiem krzyża świętego, słowami modlitwy witali ziemię ojczystą, unosząc z sobą bolesne wspomnienia przeżytej niedoli, krzepiąc siły nadzieją lepszej jutra.

Do południa trwały załatwianie formalności w komendzie wojskowej, poczem dostarczano nam, na nasz koszt, podwód, w celu odbycia sześciomilowej podróży do Tarnopola, kolej bowiem na tym szlaku jeszcze nie kursowała. Przed odjazdem byliśmy świadkami wkroczenia pierwszego oddziału wojsk austriackich na terytorium Podola. Na widok zbliżających się oddziałów polecił naczelnik rosyjskiej stacji w Wołoczyskach maszynistom, dwóch, stojących tamże, pociągów: naszego (sanitarne-go) i drugiego (osobowego) aby umykali w głąb kraju. Maszyniści nie usłuchali atoli rozkazu, a sanitaryusze oddali się do-

broń w ręce nadchodzącego wojska. Nazajutrz znalazły się — jak nam opowiadano — oba treny pociągowe na stacyi w Podwołoczyskach.

Niewymownie uciążliwą, nużącą a i niebezpieczną dla zdrowia była jazda kołowa do Tarnopola. Na stosach tobołów, poumieszczanych w chłopskich wozach, siedzieli podróżni, prze-



Józef Białynia Chołodecki,
jako zakładnik o porannej porze w swej izbie.

(Fotogr.: Olgierd Białynia Chołodecki).

ważnie nader lichy odziani, nie przygotowani do ośmiogodzinnej blisko jazdy wśród mroźnego, dojmującego wiatru, jaki hulał swobodnie ponad podolską wyżyną. Przenikał on do szpiku tych nawet, którym nie brakło ciepłego kożucha, a coś dopiero powiedzieć o paniach i dzieciach w sukniach, wystarczających zaledwie do jazdy kolejowej. Nie dziw więc, że wiele osób przeziębilo się. Do tych ostatnich należałem i ja, to też po przy-

jeździe do Lwowa byłem przez dłuższy czas niedysponowanym. Mały synek Święcickich uległ trudom podróży, a sędziwy Kędziński zaniemógł poważnie po przybyciu do Tarnopola. Rzewny obraz przedstawiał transport zakładnika Borzemskiego, chorego starca, nie opuszczającego od maja r. 1917 łóża boleści, krzepionego jedynie nadzieją odzyskania zdrowia pod troskliwą opieką rodziny. Prawdziwie samarytańskiemu poświęceniu rodziny Brennerów-Flammenberg zawdzięczał, iż przy pomocy nosz i wehikułów, wyścielonych słomą, dojechał do Lwowa*).

W Tarnopolu siedzieliśmy w restauracyi kolejowej dwa dni i dwie noce, zanim zdołaliśmy załatwić formalności meldunkowe po komendach etapowych i zdobyć podług tury miejsce w pociagu.

W Złoczowie musieliśmy znowu wysiadać z pociagu i wędrować dwa kilometry wśród dojmującego wichru do miasta, w celu przeprowadzenia dalszych formalności, tak, że dopiero po dziesięciu dniach i dziesięciu bezsennych nocach, znaleźliśmy się 2. marca r. 1918 na dworcu kolejowym Lwowa.

I oto...

Zaperliły się łzy w oczach naszych, na widok biednej polskiej ziemi...

ROZDZIAŁ IX.

OBRAZ LWOWA. — KŁOPOTY GOSPODARCZE. — LOSY MOICH DZIECI. — PEREGRYNACJA SYNA WITOLDA. — GROŹNY PROCES POLITYCZNY SYNA ZDZISŁAWA. — WYKRYCIE DENUNCYANTA. — POMYŚLNY WYNIK PROCESU. — FAŁSZE W ROZPRAWIE DR. CYBICHOWSKIEGO. — SŁUŻBA KACZKOWSKIEGO W LEGIONACH. — TROSKI I ŚMIERĆ MEJ CÓRKI JADWIGI. — ZAKOŃCZENIE.

Lwów wywarł przygnębiające na mnie wrażenie. Na peronie ponura zalegała cisza. Sporo upłynęło czasu, zanim zdołaliśmy odszukać „pakiera“, który za sowitą nagrodę podjął się znieść nasze toboły. Zrujnowany od czasu rosyjskiej inwazyi gmach kolejowy, przedstawiał smutny obraz zaniku dawnego okazałego wyglądu. W olbrzymiej sali restauracyjnej odrapane ściany, pokruszone gzymsy. Szklanka herbaty, oto jedyna zastawa, jaką nam przyniósł na śniadanie, nie bardzo chętny do usług, kelner. Brusowaty stróż, z piętnem bolszewizmu na ospałej twarzy, posuwał leniwo szczotką po podłodze, nawoływał w ordynaryjny sposób przybyszów, aby mu ustępowali z drogi. O fiakrach przed dworcem nie było wcale mowy, jedynie tramwaj stał do dyspozycyi podróżnych. Po ulicach miasta brud, kurz i śmierć. Sklepy w wielkiej części pozamykane, ruch przechodniów i zaprzęgów nikły. Na twarzach wynędzniałych, strapio-

*) Zmarł we Lwowie 25. lipca 1918 w domu swego siostrzeńca, starszego radcy Juliusza Fischera.

nych, lichu poodziewanych mieszkańców znać ciężką życia dolę, ogólną depresję. Słowem wszędzie obraz niedostatku i nędzy.

Zostawiłem walizę na dworcu, zająłem miejsce w tramwaju i wyruszyłem ku miastu. Na szlaku tramwajowym przykra spotkała mnie niespodzianka: poznoszone przystanki. Nie wiedząc o tej zmianie, nie mogłem wysiąść w odpowiednim miejscu i musiałem, acz znużony podróżą, piechotą dreptać w celu odzyskania córki Jadwigi, która, jak się dowiedziałem na miejscu, dzień przedtem zmieniła swoje pomieszkanie.

Padliśmy sobie w objęcia i długo, długo rosiły łzy radości nasze oblicza.

Następnych dni kilka, to wielka uroczystość rodzinna tak u nas, jak i u krewnych i przyjaciół. Przybyli obaj starsi synowie moi z żonami, a że dzieci z drugiego małżeństwa powróciły, jak nadmienilem, razem ze mną z długiej tułaczki, zgromadziło się obok mnie całe grono najbliższych, związanych węzłami krwi i serca.

Opiekę objęła nademną córka Jadwiga, której pierwszym zadaniem było wynalezienie i urządzenie mieszkania, sprowadzenie przechowywanych na składzie u OO. Zmartwychwstańców, mebli moich, wyszukanie sługi, zdobycie legitymacyi i asygnat normowanej przepisami, wojennej organizacji ekonomicznej, na szczupłe, nikłe zapasy najniezbędniejszych środków pożywienia. Wszystko to wymagało nie lada pracy i znoju, wobec piętrzących się na każdym kroku przeszkód. Pomieszkań brak zupełny, transport mebli połączony z niepojętymi wydatkami, u klas robotniczych, opływających w czasie wojny w zdobyte prawnie, albo i nieprawnie, dostatki, niechęć do pracy, a system organizacji ekonomicznej Lwowa, stosowany z całą komplikacją biurokratyzmu, to jedno pasmo utrudnień w uzyskaniu upoważnienia do poboru tych prowiantów, jakie widniały wprawdzie zawsze na papierze, niekiedy jednak tylko, a nawet czasem i nigdy w urzędowych składach i magazynach. — Formalną ironią było systematyczne ogłaszanie w czasopismach komunikatów, pełnych obietnic, wydawanie olbrzymich rozmiarów asygnat na niemożliwe do osiągnięcia, miesiącami całemi, wiktuały np. tłuszcz, mąkę, mydło, świece, spirytus etc.

Nie dziw więc, że wobec takiego stanu rzeczy, wymagało załatwianie spraw gospodarczych gorliwej, niezmordowanej, żarliwej pracy. Spełniała ją córka z wrodzonym zapałem, nie bacząc, iż w ten sposób nadwiera, nadszczerbia swe siły i zdrowie.

Trzyletnia blisko rozłąka z rodziną, pozbawiona w dodatku możliwości listowego porozumienia się, nastęrczyła po moim powrocie obfitego tematu do obustronnej wymiany myśli, do wynurzeń i opowieści. Miło mi było poznać drugą z rzędu synową Gabryelę z domu Kontnych, Krakowiankę, poślubioną przez Zdzisława w czasie wojny. Zresztą mało tylko usłyszałem wówczas nowin miłych, wieści przyjemnych, wiele natomiast, bardzo wiele przykrych i bolesnych.

O mnie kursowały — jak mi opowiadano — najdziwniejsze plotki, streszczające się w konkluzji, iż wyświadczałem usługi Rosyanom w czasie inwazyi, wynagrodzony przez nich w zamian kwotą 20.000 czy nawet 100.000 rubli, umknąłem do Kijowa, gdzie otworzyłem fabrykę cukrów, dorobiłem się znacznego majątku, i ani mogę, ani myślę powracać do kraju.

O najstarszym synie Witołdzie, o którym miałem przez cały czas niewoli nader pobieżne, ogólnikowe tylko wiadomości, dowiedziałem się dopiero po powrocie, że powołany jako oficer do czynnej służby, brał z razu udział w formowaniu armii na Węgrzech w okolicach Ungwaru, wymaszerował następnie na pole walki w Karpaty. Rychło uległ tutaj ciężkiej niemocy i ujrzał się w szpitalu, odstawiony niebawem do Badenu pod Wiedniem. Odzyskawszy nieco sił, przeniósł się jako rekonwalescent do Wiednia i tutaj chodził przez czas dłuższy przy pomocy laski. Uznany wreszcie przez Komisję lekarską za zdolnego do pełnienia służby po za frontem, wykonywał ją jako oficer trenu w Styryi, w Radkersburgu, potem w Storożyńcu na Bukównie i w uroczu położonym Seletynie, jako komendant szpitala rannych i chorych koni. Z początkiem stycznia 1916 r., został przydzielonym do służby w Stanisławowie, niebawem przeniesionym jako komendant szpitala do Tarnawicy leśnej.

W czasie potężnej ofensywy wojsk rosyjskich Aleksego Brusilowa cofnął się z całym parkiem szpitalnym na Węgry i pozostawał do końca 1917 r. w Izie, obok pamiętnego w późniejszych dziejach legionów naszych, Husztu. — Po krótkim z kolei pobycie w okolicy Munkacza, objął w marcu 1918 r., obowiązki przy wojskowym zarządzie rolnym w Przemyśle, ostatecznie zaś, po przeprowadzeniu kuracyi w Karolowych warach, we Lwowie, w biurze Krajowego Urzędu gospodarczego.

Powrót do Lwowa umożliwił mu otworzenie tutaj na nowo kancelaryi adwokackiej.

W ciągu czteroletniej służby żołnierskiej, awansował do stopnia rotmistrza.

Przez cały czas wyliczonej peregrynacyi od chwili zaślubnięcia, towarzyszyła mu nieodstępnie żona Janina z domu Pobóg Faliszewskich i otaczała go isticie samarytańską opieką.

Groźne miesiące przeżył w czasie mej niebytności, drugi z rzędu syn mój Zdzisław.

Po powrocie wojsk i władz austriackich do Galicyi, a specjalnie do Lwowa — w połowie 1915 r. — rozpoczęły jak to podnieśliśmy, nieczne żywioły wyzyskiwać gwałtownie sytuację, występować przeciw swym konkurentom w zawodzie, i innym niewygodnym im i niesympatycznym osobom, u władz i komend wojskowych z denuncyacyami i oszczerstwami, powodować surowe śledztwa i więzienie upatrzonych ofiar. Czarne charaktery uprawiały na tem polu formalne orgie porachunków, syciły się widokiem cierpień niewinnych i wywoływały rozgoryczenie i rozpacz wśród ludności.

Ofiarą donosu inżyniera Jana Kunerta, nie przyjętego przezemnie w r. 1914 — jak to wspomniałem poprzednio — do służby przy miejskich telefonach, padł także Zdzisław. Występując pod zmyślnym nazwiskiem nieistniejącego mechanika Leona Nowaka, denuncyował Kunert Zdzisława, dalej inżyniera Garwulińskiego, mnie, kontrolora Kurmanowicza i innych, iż w czasie inwazyi wojsk rosyjskich wyświadczałyśmy tymże, jako urzędnicy miejskiej instytucyi telefonów, niedozwolone usługi. Na świadka powołał denuncyant Nowak...Kunerta, chcąc w ten sposób zmylić ślad proweniencji donosu. Mnie nie mogła osiągnąć ta denuncyacya, skoro przebywałem jako zakładnik w Kijowie, ograniczono się więc tylko na wciągnięciu mnie na czarną listę podejrzanych rusofilów *).

*) Praesidium der k. k. Polizeidirektion Wien. Streng vertraulich! Nur für den Amtsgebrauch. Alphabetisches Verzeichniss zum Jahrgange 1915 der „Mitteilungen“ und des „Nachrichtenblattes“ Heft 26. Pag. 27. **Chołodecki Josef 792/15***.

„Mitteilungen — Praesidium der k. k. Polizeidirektion Wien (Z. St.) dto 23. September 1915.“

„Chołodecki Josef pensionirter Postrath der k. k. Post und Telegraphen-Direktion in Lemberg hat für die Russen Telephoninstallationsarbeiten, insbesondere Telefonverbingen zwischen mehreren russischen Militär- und Zivilanstalten durchgeführt und ist sodann mit den Russen geflüchtet.

„K. u. k. Hauptkundschaftsabtheilung Z. K. Nr. 3000 vom 5. October 1915.“

Verzeichniss jener mit den Russen geflüchteten Personen, welche im Betretungsfalle zu verhaften und an die Haupt K. Stelle Lemberg bzw. an das Gericht des k. u. k. Stadtkommandanten zu überstellen sind.

P. Nr. 5. **Chołodecki Josef** pens. Postrath geb. 1852 in Stawki bei Janów röm. kath. verheiratet, Vater von 5 Kindern, wohnte Sykstuskagasse 62 kurrendiert mit K. Nr. 1449 Hochverrath. Rekonstruirung von Telephonleitungen für die Russen. *Wiederin m. p. Hptm.*

Na tej samej liście ściganych widnieją między innymi nazwiska. Chołodecki Zdzisław, Garwuliński Roman, Preyer Emil, Zaleski Jan, Bator N., Biega Stanisław, Gubrynowicz Tadeusz, Dr. Grabski Stanisław, Makuszyński Kornel, Opioła Tadeusz, Raczkowski Zygmunt, Schworm Józef, Schumann Jan, Tabaczyński Ludwik, Tabaczyńska Irena, Wasilewski Zygmunt, Wierzyński Hieronim, Dr. Michejda Władysław, Pawlikowski Michał, Hr. Dąbski Stanisław, Demeter Józef, Demeter Michał, Dr. Drzewicki Jan, Dyki Roman, Dziubiński Robert, Hilich Karol, Halski Antoni, Dr. Januszewski Teofil, Jabłoński Stanisław, Jakubowski Kazimierz, Kordyk Stanisław, Kulmatycki Kazimierz, Hr. Komorowski Stefan, Lastawiecki Stanisław, Leszczyński Zygmunt, Merunowicz Teofil, Majerski Stanisław, Matkowski Włodzimierz, Pawłowski Zygmunt, Pawłowski Czesław, Pawłowska Julia, Popowicz Antoni, Rutkowski Franciszek, Rogoziński Jan, Świeżawski Ludwik, Spang Maksymilian, Stebelski Teodor, Stebelska Zofia, Dr. Starzewski, Terlecka Anna, Terlecka Marya, Wolańska Marya, Wroński Stanisław, Dr. Wiewiórski Ludwik, Wczelak Józef, Thullie Aleksander, Wartarasiewicz Aleksander, Aleksandrowicz Stanisław, Piwko Józef, Snieszko Stanisław, Dobrzelewski Tadeusz.

„Trybuna polska“ — Lwów-Warszawa. Poniedziałek 10. marca 1919. Rok I. Nr. 8. „Czarna lista austriacka“.

Oślawiona denuncyantka, Fanny v. Dittner, zdemaskowana później w czasopiśmie „Trybuna polska“ Nr. 1. z 19. stycznia 1919 r., dopuściła się fałszywego donosu następującej treści: „In diesem Postprocesse soll vom Postdirektor Chołodecki der nach Russland durchgegangen (!) ist, nicht die Rede gewesen sein, und doch, war er es, der den Russen das ganze Hauptpostamt einrichtete (!) und ihnen ein unterirdisches Kabel (!) verraten hat, oder nach anderer Version ihnen ein solches Kabel einrichtete (!)“. (Protokół spisany w Sądzie polowym 31. lipca 1915).

Kurmanowicza uwolniono po przesłuchaniu od razu od zarzutu winy, wytoczono natomiast wojskowo-karne śledztwo przeciw Garwulińskiemu i memu synowi.

Straszną była dla oczernionych chwila, gdy za niewinnymi, zamknęły się rygle więziennej kazi, a surowy prokurator rozpoczął swe urzędowanie.

W dniu 29. lipca 1915 r., zjawił się w technicznym biurze Dyrekcji poczt i telegrafów, agent wojskowej policji, wezwał Garwulińskiego do udania się za nim, dla nieobecnego chwilowo syna mego zaś, pozostawił pisemną cytacyę do stawienia się tegoż samego dnia o godzinie 5-tej po południu, w gmachu Komendy korpuśnej, przy placu Bernardyńskim. Tam przeprowadził pierwsze przesłuchanie obwinionych, przydzielony do służby w biurach wojskowych komisarz Dyrekcji policji Józef Kuczek*) i zatrzymał ich w areszcie śledczym.

Przy tej sposobności wyraził Kuczek wobec mego syna twierdzenie, iż ja nie zostałem wywieziony jako zakładnik do Rosji, lecz sam tamże uciekłem — na co ma mieć (Kuczek) pewne dane w swem ręku. Tego rodzaju, jeśli użyjemy delikatnego wyrazu, „zbyt pochopne“ twierdzenie, musiało wywołać słuszne oburzenie nie tylko w rodzinie, ale i u tych wszystkich, którzy mieli świadomość właściwego stanu rzeczy.

Przy rewizji, jaką przeprowadzono, tak w domu Zdziśława, jak i pomiędzy moimi rzeczami, zabrano moją fotografię na wypadek, gdyby zaszła potrzeba ścigania „zbrodniarza“ listami gończemi, niemniej mój testament, sporządzony po wybuchu wojny w dniu 20. sierpnia 1914 r. Testament ten, przeniesiony do biura otworzył Kuczek, nie znalazłszy jednak spodziewanych podstaw do podniesienia przeciw nam zarzutów, włożył go rychło w nową kopertę, zaopatrzył odpowiednią adnotacyą, w niemieckim języku i oddał mej rodzinie. U syna mego zakwestyonowano — czy uwierzy czytelnik? — mapę kolejową wydartą z rozkładu jazdy pociągów, jaki to rozkład wraz z mapą sprzedają dla użytku podróżnych po księgarniach, dworcach i ulicach miasta.

W dniu 1. sierpnia 1915 r., przeprowadzono Zdziśława i Garwulińskiego do t. zw. „Małych koszar“ przy ulicy Zamarstynowskiej, które od jakich lat stu, zwykły były „gościć“ naszych polskich przestępców politycznych, jako filia głównego więzienia w gmachu Pokarmelickim. Obecnie były „Małe koszary“ aresztem sądu wojennego, komendanta miasta Lwowa, generała Wojciecha Letovskyego**), przy którego boku urzę-

*) „Trybuna polska“ — Lwów-Warszawa. Rok I. Nr. 10, z 24. marca 1919 r. „Komisarze policyjni w austriackiej służbie szpiegowskiej“.

**) Wojciech Letovsky służył poprzednio jako major i pułkownik przy złoczowskim pułku piechoty Nr. 80, zapisał się zaś jako komendant miasta Lwowa, od 19. lipca 1915, nieprzyjemnie w pamięci mieszkańców.

dował naczelnik biura wywiadowczego pułkownik Edmund Krulisz*). Naczelnikiem sądu wojennego był major audytor Bielski, tegoż pomocnikiem porucznik Gołąb. Przesłuchanie prowadził w niniejszym wypadku, rezerwowy porucznik audytor Wolf Żarkower, w cywilnym stanie sędzia w Podwołoczyskach. Dwa przeszło miesiące siedzieli obaj poszlakowani w więzieniu, zanim przyszło do pierwszej rozprawy przed trybunałem wyrokującym. A jakież to straszne przechodzili wówczas moralne cierpienia, w poczuciu niewinnie znoszonej udręki, niepewni losu, wśród grozy ciężkiej kary, zawisłej jedynie od osobistego poglądu członków trybunału, nie uświadomionych od razu śledztwem o właściwym stanie sprawy i o techniczno-fachowej jej stronie, przed rozprawą bowiem nie przesłuchano wcale kompetentnych, nie dano im możliwości stwierdzenia, iż zarzuty w denuncyacji Kunerta są nieuzasadnione. Stało się to dopiero w ciągu samej rozprawy, podczas której wyświetlili rzecz cywilni świadkowie wbrew wywodom prokuratora i powołanych wojskowych rzeczoznawców. A świadków tych spore stanęło w obronie niewinnych, grono; a więc: radca dworu i szef oddziału technicznego Władysław Gadomski, radca budownictwa Henryk Poster, radca pocztowy Dr. Kazimierz Lenartowicz, adjunktki pocztowe Marya Mazurkówna i Zofia Wonschówna, kontrolor pocztowy Łukasz Kurmanowicz; dalej Fryderyk Ziegler, Antonina Garwulińska i żona donosiciela Helena Kunertowa, w końcu podwładni robotnicy przy zakładzie telefonów. Wyrokującemu trybunałowi przewodniczył podpułkownik, prowadził z godnością i taktem sprawę rezerwowy porucznik Dr. Zygmunt Atlas, adwokat z Sądowej Wiszni, bronił z urzędu rezerwowy porucznik Dr. Michał Ringel, adwokat ze Lwowa, oskarżał zaś obu o zbrodnię z § 327 wojsk. ust. kar., ponadto Garwulińskiego o zbrodnię z § 65 ogólnej ustawy karnej, kapitan audytor Walloner, a oskarżał z niezwykłym zasobem energii, która nie dozwalała mu zatajać niezadowolenia, ilekroć razy nie zeznawali świadkowie po jego myśli, lub sprzeciwiali się wywodom oskarżenia i rzeczoznawców. Lecz, nie dziw temu, skoro się zważy ogólną w tym kierunku tendencję rządu austriackiego. Wszakże już poprzednio, niezawisłe od śledztwa, jawiły się jakieś postacie np. w domu adjunktki Mazurkówny i usiływały wydobyć od niej prywatnie różne zeznania, co się działo w biurze miejskich telefonów, jaką wykonywano tam służbę, z jakiego powodu wyjechałem ze Lwowa, na jakiej podstawie twierdzi (Mazurkówna) iż zostałem wywiezionym w charakterze zakładnika, jakie ma w tym kierunku dowody etc. etc.

*) Edmund Krulisz, syn lwowskiego zegarmistrza, został przeniesionym z komendanta pułku, na naczelnika kancelarii korpusnej komendy we Lwowie, zarazem naczelnika biura wywiadowczego. Po ewakuacji Lwowa stacyonowany na Węgrzech odznaczał się surowem, przesadnie gorliwem, spełnianiem obowiązków. Niebawem po powrocie do Lwowa przeniesiono go w stan spoczynku, poczem zmarł nagle, tknięty apopleksyą.

Rozprawa trwała od 1-go do 4-go października r. 1915 i jedynie tylko Kunert, który, jak nadmienilem, podał w pseudonimowym doniesieniu sam siebie na świadka, wyróżniał się od wszystkich innych, swemi niezgodnemi z rzeczywistym stanem rzeczy zeznaniami. Jakąż konsternację wywołało oświadczenie Kunertowej, iż w imię prawdy musi stwierdzić, że autorem denuncyacji jest, wedle charakteru pisma, jej mąż, Jan, nie po raz pierwszy grzeszący przeciw etycznym zasadom honorowego człowieka. Niezawisłe od Kunertowej, stwierdził charakter pisma jej męża, tegoż naczelny szef, radca dworu Gadowski, ogół świadków zaś wystawił Kunertowi ujemne świadectwo. Wyrok trybunału zapadł korzystny, uwalniający obu oskarżonych od winy i kary. Jenerał Letovsky nie zatwierdził atoli tego wyroku, lecz przedłożył sprawę do decyzji wyższej, naczelnej komendy armii. Zapadła kurtyna po pierwszym akcie bolesnego dramatu, a obaj podsądni pozostali nadal, niepewni swego losu, w więzieniu. Po siedmiu przeszło tygodniach dalszych udręczeń kaziennych oświadczone im, iż naczelna komenda armii zarządziła ponowne przeprowadzenie rozprawy, tym razem nie we Lwowie, lecz przed sądem komendy przyczółku mostowego, czyli fortecy w Przemyśle. Sąd lwowski, który wydał wyrok uniewinniający został rozwiązany, a oficerowie przeniesieni na inne posterunki. Dola więźniów, przewiezionych wieczorem 26. listopada 1915 pod eskortą kaprała i 4 żołnierzy ze Lwowa do Przemyśla, znacznie się pogorszyła. Natłoczone, brudne, zimne cele, surowe traktowanie, prosty, ordynaryjny wikt, niemożliwość korzystania, jak to było we Lwowie, za dopłatą z własnych funduszy, z zdrowej kuchni, wszystko to oddziaływało coraz bardziej szkodliwie na zdrowie uwięzionych.

Doczekali się nareszcie drugiej rozprawy w dniu 16. grudnia r. 1915, przy której powołany przez obwinionych cywilny obrońca, adwokat z Przemyśla, dr. Leon Peiper, rozwinął całą potęgę wrodzonej mu fachowej elokwencji i argumentacji. Przewodniczył trybunałowi emer. pułkownik Józef Wessely, prowadził rozprawę kapitan audytor Jan Sebestik, trzymał pióro porucznik w rezerwie Stanisław Kaliniewicz z pułku obrony krajowej Nr. 17, oskarżał kapitan audytor dr. Rudolf Paukner. Ponadto dopuszczono dwóch mężów zaufania, którymi byli syn mój Witold i brat Garwulińskiego. Wyrok zapadł i tym razem na korzyść obwinionych, został zatwierdzonym w dniu 19. grudnia r. 1915 przez komendanta fortecy generała Stowassera, poczem wypuszczono więźniów na wolność, wręczono im legitymacje kolejowe i pozwolono powrócić do Lwowa. Kapitan Sebestik opracował w myśl przepisów, czy też kazał opracować, pisemny wyrok uwalniający i przytoczył w nim cały szereg motywów, stwierdzających, jak niesłusznie pociągano obu podsądnych do odpowiedzialności.

Wyjmujemy z tego wyroku kilka podniesionych tamże szczegółów: Brzmiały one jak następuje:

1) Na niekorzyść oskarżonych zeznawał jedynie tylko Kunert, zeznania jego nie są jednak ani wiarygodne, ani bez zarzutu.

2) Gdy dr. Rutowski po zwołaniu personelu telefonów polecił inżynierowi Garwulińskiemu puścić w ruch instytucję telefonów w ciągu 48 godzin, sprzeciwił się tenże objęciu służby miejskiej, zgodził się zaś następnie dopiero wtedy, gdy go dr. Rutowski publicznie, wobec świadków zapewnił, z powołaniem się na normy konwencji w Hadze, że centrala miejskich



Puszcza wodna pod Kijowem.

Marya i Helena Wąż-Wężykówny na wycieczce.

telefonów nie będzie miała żadnej styczności z zarządem rosyjskim, że więc skrupuły państwowych urzędników austriackich są w tym kierunku nieuzasadnione.

3) Rosyjskie władze podejrzewały austriackich urzędników, że ci w biurze miejskich telefonów, w głównym gmachu pocztowym, utrzymują za pomocą tajnego przewodu podziemny telefoniczny związek z twierdzą Przemyśla i wskutek tego przerwały zaraz z początku przygotowawcze czynności, dążące do otwarcia telefonicznego ruchu w obrębie miasta.

4) Personal miejskich telefonów składał się wyłącznie tylko z austriackich urzędników i niższych funkcjonariuszów, a firma instytucji opiewała: „Zarząd miejskich telefonów“.

5) Miejskowa centrala telefonów znajdowała się pod zarządem miasta w czasie od 25. września do 22. listopada 1914, poczem odebrały ją pod własny zarząd władze rosyjskie. Z chwilą tej zmiany wystąpili ze służby wszyscy urzędnicy z wyjątkiem technicznego pomocnika Jana Zaleskiego i kierownika warsztatów, mechanika Emila Preyera.

6) Nie stwierdzono u żadnego z oskarżonych istoty czynu zbrodniczego, urzędowa ich działalność bowiem była dla nieprzyjaciela pod względem strategicznym i operatywnym bez znaczenia.

7) Wedle opinii rzeczoznawców nie mogli się ochronić rosyjscy abonenci przed podsłuchiwaniami ze strony austriackiego personalu telefonów, to też niemogli wydawać przy pomocy lokalnych telefonów żadnych rozkazów strategicznych lub operatywnych.

8) Władze rosyjskie uważały stale telefony za czysto miejską instytucję i dozwoliły na ich otwarcie dopiero po kilkakrotnych prośbach i zabiegach ze strony Dra Rutowskiego. Pierwotnie wypędzili byli cały personal austriacki z gmachu pocztowego, następnie uwzględniwszy zabiegi Dra Rutowskiego, dotyczące otworzenia centrali miejskich telefonów, wydali temu personalowi specjalne przepustki wstępu do gmachu pocztowego, w końcu odebrali miejską sieć telefoniczną w interesie bezpieczeństwa pod własny zarząd.

9) Rosyanie użytkowali z przysługujących im wojennych praw, a zarząd miasta był zmuszony uwzględnić ich żądanie. Władze rosyjskie posługiwały się lokalną siecią, za zwykłą opłatą, jedynie przy rozmowach prywatnych, dla rozmów z for-tami, urządzili rosyjską centralę w dawnej komendzie placu.

10) Prezydent Dr. Rutowski nie tylko, że podniósł sam myśl stworzenia lokalnej komunikacji telefonicznej i uregulował jej stosunek do rosyjskich komend, lecz ponadto porozumiewał się w tej sprawie osobiście z władzami rosyjskimi, udzielał poleceń, zatrzymał przez cały czas w swych rękach wyższy nadzór nad tokiem spraw i odbierał bez przerwy, o ich przebiegu pisemne raporty.

11) Był tenże prezydent owym mężem, który w wątpliwych wypadkach o dopuszczalności lub niedopuszczalności pewnych czynów z punktu widzenia państwowych urzędników, uspokajał personal telefonów swoją powagą, z odwołaniem się na Hagską Konwencyę. (Ustawa z 5. września 1913 r. Dz. u. p. Nr. 68.*).

*) Dr. Tadeusz Rutowski, denuncjowany także przez Fanny v. Dittner, byłby bezwątpienia nie uniknął przykrości śledztwa, gdyby z chwilą powrotu wojsk austro-węgierskich do Lwowa, znalazł się był na miejscu.

— Proszę nie mieszać do tego procesu dra Rutowskiego — rzekł pro-

12) Nie mieli podświadni całkiem myśli i zamiaru dopomagania nieprzyjacielowi, skoro każdy z nich, mogąc polepszyć sobie materialne położenie, rezygnował w krótkim czasie z posady, gdy zaś sieć telefonów przeszła pod zarządek władz rosyjskich, żadnych usług Rosyanom nie świadczył.

13) Obaj oskarżeni są austriackimi urzędnikami z bardzo dobrą kwalifikacją, wykazują 15, względnie 7 lat służby państwowej, i czują się wobec tego związanymi ściśle z państwem austriackim.

14) U oskarżonego Chołodeckiego zachodzi ponadto okoliczność, iż tenże został wychowanym w domu swego ojca, austriackiego urzędnika państwowego VI. klasy rangi, który miał za sobą 35 lat służby. Tamto nauczył się inżynier Chołodecki, ze względu na ojca literackie, w duchu antyrosyjskim wydawane prace, uważać Rosyę jako swego wroga.

15) Przełożona władza oskarżonych, która po odbiciu Lwowa, w czerwcu r. 1915 badała zachowanie się ich w czasie inwazyi rosyjskiej i zasięgała dokładnych informacji o wszystkich szczegółach, nie znalazła żadnego powodu do występowania przeciw obwinionym, choćby tylko w drodze dyscyplinarnej, przeciwnie zatrzymała ich na dawnych stanowiskach.

16) Sąd uznał za prawdziwe i udowodnione, iż doniesienie karne pisał sam Kunert i podpisał fałszywem nazwiskiem nieistniejącej osoby Nowaka.

17) Sąd uznał dalej za udowodnione, iż tenże świadek (Kunert) znajdował się w karno-sądowym śledztwie pod zarzutem zbrodni sprzeniewierzenia w urzędzie, że do rozprawy głównej przeciw niemu był powołanym jako świadek Garwuliński, że Kunert został jako komisarz budownictwa zdegradowanym na oficjalną pocztowego i nie zażywał dobrej opinii u swej przełożonej władzy.

18) Kunert ubiegał się o posadę przy miejskiej centrali telefonicznej, której atoli nie otrzymał i z tego powodu żywił do oskarżonych nieprzyjazne uczucia.

19) Garwuliński nie dał się zresztą nakłonić przy głównej, w Tarnopolu przeprowadzonej przeciw Kunertowi rozprawie, do kłamliwych zeznań.

20) Sąd uznał w końcu jako prawdziwe zeznanie świadka Kurmanowicza, iż Kunert pokazywał dyrektorowi Chołodeckiemu polecające pismo generalnego gubernatora Szeremetiewa.

Wobec uwalniającego wyroku, wobec tylu przytoczonych wybitnych argumentów, miała komisya dyscyplinarna c. k. Galicyjskiej Dyrekcyi poczt i telegrafów we Lwowie wdzięczne

kurator do obroncy w procesie *contra* Garwuliński i Chołodecki — skoro z innych powodów, nie mogą przeciw Rutowskiemu wystąpić.

— Gdyby dr. Rutowski nie był za granicą, stałby tak samo, jak pan przed krótkami sądu — rzekł znów inny prokurator do adwokata dra B.... ściganego za to, iż w czasie inwazyi rosyjskiej spełniał w mieście B.... obowiązki burmistrza.

pole do uchwały, powziętej na posiedzeniu Senatu dyscyplinarnego w Tarnowie dnia 27. stycznia 1916, po wysłuchaniu i zgodnie z wnioskiem prokuratora dyscyplinarnego, by nie wdrażać śledztwa dyscyplinarnego przeciw obu nazwanym urzędnikom pocztowym i wszelkie dalsze postępowanie przeciw nim zastanowić.

W uzasadnieniu powyższej uchwały, zakomunikowanej oskarżonym dekretem z 1. lutego 1916 L. cz. $\frac{D. 1/16}{3}$ czytamy:

„Zarzuty, uczynione Romanowi Garwulińskiemu i Zdzisławowi Chołodeckiemu na podstawie pisemnego doniesienia, wy stosowanego do c. k. Dyrekcyi policyi we Lwowie, a rzekomo przez niejakiego Leona Nowaka, w rzeczywistości zaś, jak to wykazały dochodzenia karne, przez suspendowanego i w pierwszej instancji w drodze dyscyplinarnej na posadę oficyała pocztowego przeniesionego komisarza budownictwa Jana Kunerta, iż obaj na wstępie wymienieni funkcyonaryusze w miesiącach wrześniu, październiku i listopadzie r. 1914 w zbrodniczym zamiarze brali udział w urządzaniu i naprawianiu sieci telefonicznych lokalnych i dalej prowadzących, aż do fortów rosyjskich po za granicami Lwowa, w tym celu, aby Moskalom ułatwić operacye strategiczne, zaś c. i k. armii wyrządzić szkodę, Garwulińskiemu ponadto, iż przez rzekome odezwanie się na publicznem miejscu wobec Kunerta, iż Galicya dla Austrii jest straconą — zostały w trakcie śledztwa karno-wojskowego i podczas rozprawy głównej, odbytej w dniach 1., 2., 3. i 4. października 1915 w c. i k. Sądzie polowym komendanta miasta Lwowa, oraz podczas powtórnej rozprawy głównej, odbytej w dniach 16., 17. i 18. grudnia 1915 w c. i k. Sądzie polowym komendy przyczółka mostowego (Brückenkopfkommando) w Przemyśle, ponad wszelką możliwość odparte, przyczem w zupełności wyświe tlonem zostało, iż, zarówno Garwuliński, jak i Chołodecki byli w owym czasie na wyraźne wezwanie zwierzchności gminnej, czynni jako technicy, wyłącznie tylko przy urządzaniu prywatnych stacyj telefonicznych, pozostających wówczas w zarządzie miasta Lwowa, że więc byli czynni dla dobra i bezpieczeństwa tego miasta i jego społeczeństwa.

Z tego właśnie założenia wychodząc, oba powyżej nazwane c. i k. Sądy polowe uwolniły Garwulińskiego i Chołodeckiego od winy i kary — Garwulińskiego ponadto od winy za zbrodnię zakłócenia porządku społecznego z § 65 u. k. albowiem co do tego ostatniego punktu, nabrały przekonania, iż zeznania jednego jedyne go świadka Jana Kunerta nie polegają na prawdzie, lecz wywołane zostały osobistą zemstą.

Orzekający Senat dyscyplinarny rozpatrując powyższą sprawę na podstawie materiału dowodowego i obu sądowych wyroków uwalniających, nabrał przekonania, iż w czynnościach Garwulińskiego i Chołodeckiego w czasie krytycznym, nie ma zgoła żadnego znamion przestępstwa służbowego, ani nawet znamion nieprawidłowości służbowej. Wobec tego, należało po myśli

§ 113 ust. 1. p. s. nie wdrażać śledztwa dyscyplinarnego, zaś po myśli § 113 ust. 2. p. s. wszelkie dalsze postępowanie zastanowić. Tarnów, dnia 1. lutego 1916. Przewodniczący Komisji dyscyplinarnej. C. k. Starszy Radca pocztowy (Piotr) Białas m. p. (L. S.)“

Proces przeciw synowi memu i Garwulińskiemu należał do owych — licznych niestety — wypadków, które, rozgrywając się po powrocie wojsk austro-węgierskich do Galicji, dały impuls arcybiskupom rz. kat. i orm. kat. dycezyi ks. Józefowi Bilczewskiemu i ks. Józefowi Teodorowiczowi do interwencji na rzecz cierpiącej niewinnie ludności, posłom do Rady państwa zaś temat do płomiennych przemówień w czasie pierwszej sesji parlamentu. Wśród tych przemówień wybiła się na czoło, mowa złotoustego oratora ks. arcyb. Teodorowicza.

Niektórzy z niewinnie cierpiących, zasądzonych, doczekali się pewnego moralnego zadośćuczynienia, innych rehabilitowano po śmierci odegraniem hymnu na grobie, lecz nie brakło i takich, którzy padli bez rehabilitacji ofiarą podłych donosicieli.

Nie zdołano wynagrodzić synowi memu przebytych katuszy i nadwątlonego zdrowia, które zniewoliło go zaraz po ukończeniu procesu szukać ulgi i wypoczynku, pokrzepienia i ukojenia wśród szczytów Zakopanego. — Odpokutował Kunert ciężko za swój niecnny postęp, gdyż został przez wojskowy sąd honorowy pozbawionym stopnia oficerskiego — jako urzędnik zaś przeniesionym w stan spoczynku.

Zatrzymałem się nieco dłużej nad powyższym tematem, a zatrzymałem wobec faktu, iż omówiona kwestya — właściwy jej stan i przebieg, mało były i są znane ogółowi społeczeństwa, pomimo, iż w swoim czasie poruszały ją często w łamach czasopisma z „Dziennikiem polskim“ na czele. Ignorancya sprawy przekształciła ją w brukową plotkę, utrwaloną następnie broszurami i rozprawami. Jeżeli można przejść do porządku dziennego nad mniej fortunną w tym kierunku relacją, ogłoszoną przez nieznanego autora p. t.: „Lwów po inwazji rosyjskiej, wrzesień — grudzień 1914. Opowiadanie naocznego świadka. Nakładem Z. Machnowskiego. Wiedeń VII. Zieglergasse 12 II/14 Cena 80 hal.“, to już wręcz na wytknięcie zasługuje twierdzenie w rozprawce profesora Dr. Zygmunta Cybichowskiego p. t.: „Rządy rosyjskie we Lwowie 1914-15 w świetle prawa międzynarodowego“, ogłoszonej w „Przeglądzie prawa i administracji“ tom XL (1915), gdzie na str. 32 znajdujemy wzmiankę, iż „uruchomieniem poczty zajął się za wolą i wiedzą gubernatora wojennego emerytowany urzędnik austriacki“. Tego rodzaju niezgodne z rzeczywistością obrazowanie wypadków, zdolne wywołać te same skutki, co zwykła denuncyacja, czyni tem bardziej ujmę samemu autorowi, iż tenże ocenił swą rozprawkę jako elaborat „naukowy“, oparł tymczasem odnośne wywody na błędnych przesłankach.

Byłem zniewolony odnieść się do redakcyi „Przeglądu“ w celu sprostowania nieprawdziwego faktu. Redakcyja umieściła w całości odnośny list mój w zeszytce 5—7 za maj i lipiec r. 1918 str. 275 a rzeczowe sprostowanie to faktów i szczegółów podrażniło do tego stopnia ambicyonującego na punkcie swej nieomyślności autora fantastycznych twierdzeń, iż tenże pominął w replice zasady prawdy i logiki, i postawił tem samem wywody swoje na stanowisku niegodnem dalszej polemiki.

Tego rodzaju bajeczki, jak opowiedziane przez Dr. Cybichowskiego, miały ten skutek, iż Rosyane uważali mnie za austrofila i jako takiego wywieźli w granice Rosyi, austriackie władze zaś podejrzывały mnie przeciwnie o rusofilstwo — podczas gdy ja nie byłem nigdy ani austro- ani rusofilem, a tylko szczerem Polakiem.

Nieszczęście, jakie dotknęło Zdzisława po powrocie wojsk austriackich, dotknęło pośrednio i córkę moją Jadwigę Kaczkowską. Położenie jej było tem cięższem, iż brakło im wówczas ojca, naturalnego opiekuna w nieszczęściu, a brat Witold w dalekich przebywający stronach, nie tak łatwo mógł doskoczyć z pomocą.

W tej to groźnej chwili, zebrała Jadwiga całą moc ducha i w przeświadczeniu o niewinności brata, o słuszności i świętości sprawy, za którą walczy, stanęła śmiało w obronie niewinnego, wzorem matek i babek, nastawiających w czasie stuletnich walk narodu o niepodległość, piersi swe w obronie wolności i życia ojców, braci, mężów i kochanków, przebiegała domy przyjaciół i znajomych, wyjaśniała sytuację, szukała pomocy, zbierała dowody, wykazujące bezpodstawność denuncyacji, pocieszała uwięzionego, dostarczała mu pożądanego posiłku, czuwała dniem i nocą nad jego położeniem, i — odniosła tryumf nad przewrotnością....

O mężu Jadwigi, zięciu moim, Sewerynie Kaczkowskim, powziąłem dopiero po powrocie do kraju wiadomość, iż tenże zaraz po wybuchu wojny, na pierwszy odzew narodu, umundurował, uzbroił, zaprowiantował i wysłał gniazdo sokole winnicke w pole, a w miesiąc później, zwolniony od swych obowiązków służbowych, sam podążył, by następnie, jako ułan 12 dywizyonu kawalerii, w 3-im szwadronie, naprzód pod komendą rotmistrza Juliusza Klasterskiego, a następnie, pod ludźmi tej miary, jak rotmistrz Jan Dunin Brzeziński, lub ś. p. Zbigniew Dunin Wąsowicz, stać się niejednokrotnie wdzięcznym synem Polski. Przerobił całą kampanię karpacką, bukowińską, siedmiogrodzką, naddniestrzańską i besarabską, posuwał się szybko w karierze, zdobył wielki medal waleczności, złoty krzyż z koroną, rangę oficerską i piękną historię drukowaną, zwłaszcza w opisach dra Bertolda Merwina, omawiających bi-

twy pod Papfalwa i zdobycie Kirlibaby w r. 1915*). Ciężka choroba nerkowa, zapalenie szczytów płuc i szybko postępujący reumatyzm, przy ogólnem wyczerpaniu fizycznym walczącego w najgorszych warunkach legionisty, zmożyły wreszcie Kaczkowskiego tak dalece, że wywieziony z pola bitwy na granicy bessarabskiej, po kilkunastu konsultacjach w szpitalach wiedeńskich, został jako superarbitrowany, odesłany na kurację domową po jedenastu miesiącach ofiarnych przejść i znojów.

Powrócił do zrujnowanego wojną domostwa...

Szeregi Legionów znalazły też gorliwych szermierzy w ciotecznych siostrzeńcach moich Włodzimierzu Krogulskim i Karolu Polakiewiczu, awansowanych w uznaniu zasług do stopnia oficerskiego. Pierwszy z nich przeszedł całą aferę internowanych w obozie w Huszt, drugi, ciężko raniony w szczękę przebywał operację i długotrwałą kurację w szpitalu wiedeńskim. Ojciec Karola, Włodzimierz Polakiewicz, mimo zaawansowanego wieku, stanął również do apelu w Legionach i był przez pewien czas internowanym na terytoryum Czech.

Do zmarłych podczas mego pobytu na wygnaniu członków rodziny, należała wdowa po mym rodzonym bracie, Jadwiga z Gruszków Stanisławowa Chołodecka, cioteczna moja siostra Helena z Grandów 1-o v. Habdank Białobrzeska, 2-o v. Salikowa, mąż mojej ciotecznej siostry, Maryi z Tymińskich Władysław Danek, dalej Józef Wczele Miliński, z Helenkowa, Zygmunt Pniejnia Karwowski, dr. Stanisław Pniejnia Karwowski w Poznaniu z żoną i i.

Utrudniona, względnie przerywana na dłuższy czas komunikacya między nami — brańcami — a naszymi rodzinami w kraju, wywoływała częstokroć fałszywe, nieraz zmyślone, jak to stwierdziłem po powrocie, informacje. Przedostawały się one do łamów czasopism. Z końcem sierpnia r. 1915 ogłosiły np. dzienniki wiadomość, iż lwowscy zakładnicy otrzymują „od rządu rosyjskiego“ obok 4 rubli dziennej płacy, także i wolne pomieszkowanie; w październiku tegoż roku podały znów niedokładny, błędny wykaz zakładników. Błędy takie w komunikatach powtórzyły się w lutym r. 1916, a dopiero po powrocie dra Schleichera, Becka i Fedaka w lecie r. 1916 ukazał się pierwszy artykuł, kreślący zgodny z rzeczywistością stan rzeczy**).

O mnie były w ogóle pierwsze wzmianki dziennikarskie dopiero w „Kuryerze lwowskim“ Nr. 357 z 20. lipca r. 1916, niemniej przy sposobności walnego zgromadzenia członków Gal. Tow. ochrony zwierząt.

Jakkolwiek upłynęło było kilka już tygodni od chwili powrotu mego do kraju, nie chciałem wierzyć, iż to nie złudzenie, lecz rzeczywistość. Idąc ulicą, patrząc się na znane mi ka-

*) Dr. Bertold Merwin: Legiony w boju 1914—1915, Kraków 1916, Tom II., str. 18 i 20. Marya Mazurkówna: „Wśród róż i głogów“, Lwów, 1918, str. 51.

**) Kuryer lwowski, Nr. 419 z 28. sierpnia r. 1916.

mienice, sklepy, świątynie, gmachy, skwery i pomniki, przecierałem oczy, i zapytywałem sam siebie, ażali nie jest to tylko senna mara, półgorączkowej fantazyi obraz, który prysnie z chwilą przebudzenia. Tak silnie wpiły się były w umysł mój smutne zawody na temat upragnionego zrządzenia więzów niewoli.

Bawiły mnie czułe występy znajomych, udających serdecznych przyjaciół, wyrażających przy spotkaniu „wielką radość” z powodu mego powrotu — znajomych, którzy tak niedawno jeszcze rozsiewali różnorodne o mnie plotki „szyli mi buty”.

Lecz mniejsza o plotkarzy, dość że byłem już pod własnym dachem...

Radowałem się z powrotu, nie przeczuwałem, niespodziewałem się, jak ciężki grom ma spaść w tej epoce na strapioną, zbolałą przejściami głowę moją.

W dniu pierwszym Wielkiej Nocy, przy skromnym stoliku, zdobytego, skrzętnością i zapobiegliwością córki Jadwigi „święconego”, złożyliśmy sobie oboje, wzajemne życzenia, odwieźliśmy następnie krewnych, a gdy nazajutrz, wczesnym rankiem, zjawiłem się, jak zwykle, na śniadaniu w pobliskim domu córki, zastałem ją chorą w łóżku. I rozpoczęły się, niewysłowione, straszne, iście piekielne jej fizyczne męki. Ciężka choroba, zwana w medycynie *osteomyelitis*, ropne zapalenie szpiku kostnego w nodze, wybuchła z żywiołową, iście dynamiczną potęgą i przywaliła swem brzemieniem, nadwątłony przejściami, troskami, zgryzotami, strapieniem, organizm młodej kobiety. Zrozpaczony, przewiozłem chorą do sanatorium, wezwałem pomocy całego szeregu powag medycznych, wszystko nadaremnie. Konsultacye i konsylia, trzykrotne ciężkie operacye z usypianiem i bez usypiania, bolesne, równające się operacyom opatrunki, katusze znoszone przez chorą z prawdziwym bohaterstwem, rezygnacją, wytrwałością i cierpliwością, obudzające podziw i uznanie operatorów, nie zdołały przywrócić jej rekonwalescencji i zdrowia. W 27 dni po zajęciu łóża boleści, a w 21 godzin po odjęciu nogi, oddała 27. kwietnia r. 1918, Bogu ducha, a cios ten był zaiste pieczęcią, jaką wycisnął los na cyklu mych brzemiennych cierpień, przejść i doświadczeń.

Jak szlachetną, niezwykłą postacią była bowiem ta kobieta, czem była dla mnie ta córka, może dowiedzieć się czytelnik z treściwej książki pióra Maryi Mazurkówniej, p. t. „Wśród róż i głógów. — Wspomnienia z życia Jadwigi z Białynia-Chołodeckich Sewerynowej Kaczkowskiej * 1879 † 1918”, Lwów 1918.

*

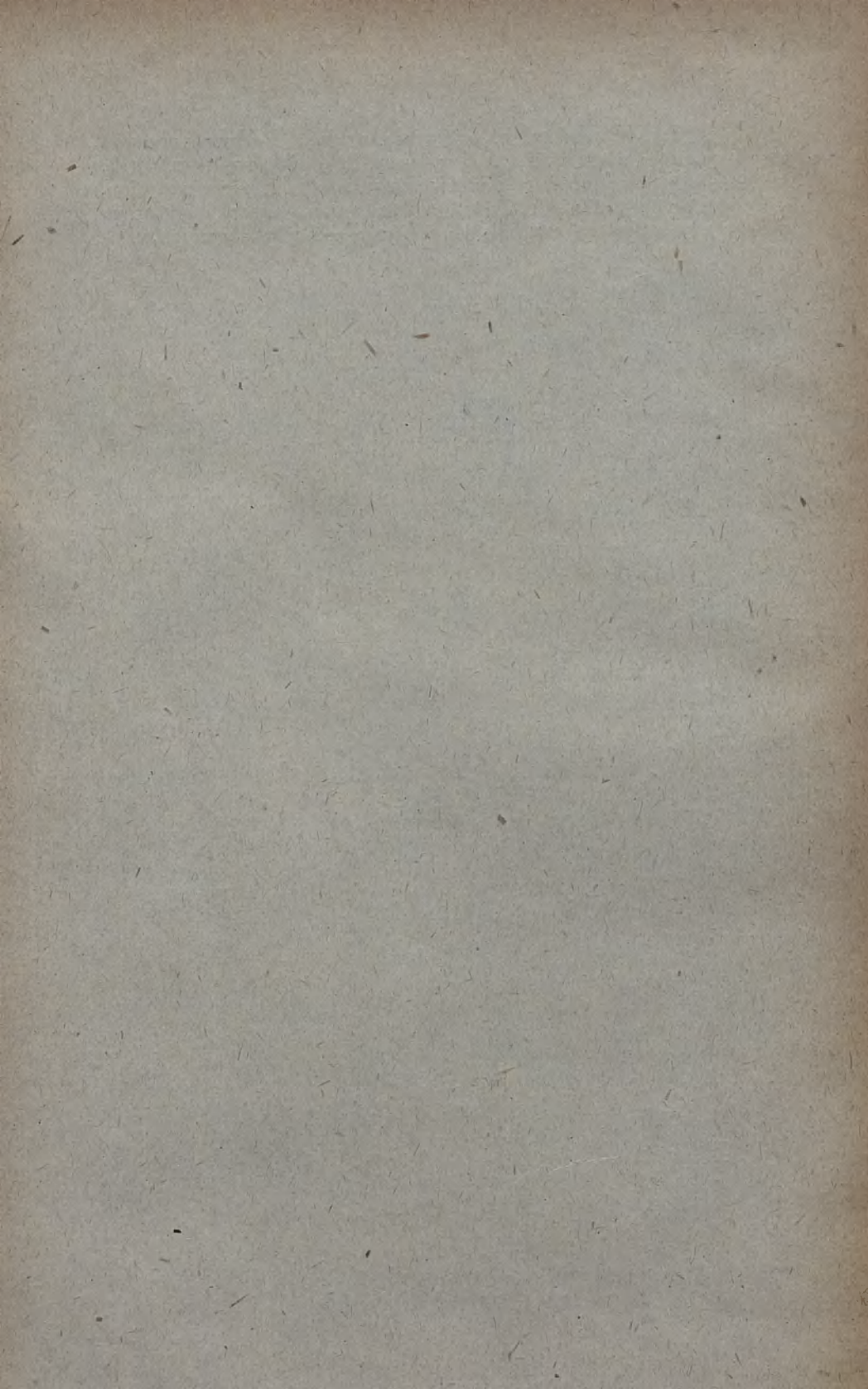
*

*

Mocarstwa centralne przegrały wojnę. Rada regencyjna w Warszawie proklamowała w dniu 8. października r. 1918, niepodległe zjednoczone państwo ze wszystkich ziem polskich, zamieszkałych przez Polaków, a życie nasze weszło w nową fazę, w nowe ramy stosunków politycznych i społecznych.

Lwów, w październiku 1918.





Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000203143



II 13797